ROK XVII NR 11 (852) ŁÓDŹ, 14 MARCA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

► NA TRASIE – Karol Barszczewski ► O POEZJI TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO – B. Ostromęcki i Z. Skibiński ► PCHLI TARG – fotoreportaż Piotra Jaskowa ► ► NUMER REJESTRACYJNY RZYM M-03169 ► KOBIETY W DZIENNIKACH LWA TOŁSTOJA – Konrad Frejdlich ► OD BACHA DO OFFENBACHA – Jerzy Kwieciński ► ► WIĘZIENIE – Georges Simenon ► REPORTAŻE ► FELIETONY ► RECENZJE ► POLEMIKI ► SEX W LITERATURZE ►

GRAŻYNA KOMPEL

TAJEMNICA CZWARTEGO WYMIARU

– PRÓBA WYJAŚNIENIA

Maciej Zdzienicki przypomniał ostatnio (patrz: „Odgłosy" nr 4 z br.) interesujące książki poświęcone zagadkowym zjawiskom procesów psychicznych — telepatii, telkinezie, jasnowidzeniu. Zwrócił wówczas uwagę na fakt, że mało mówi się i pisze u nas na ów temat, twierdząc, iż „nasza obecna wiedza w Polsce w tej dziedzinie niewiele odbiega od tego, co wiedziano w czasach, gdy Adam Grzymała-Siedlecki spotykał się ze Stefanem Ossowieckim".

Istotnie, trudno mówić o masowej popularyzacji wyników badań parapsychologicznych. Nic więc dziwnego, że informacje na temat np. telepatii, sugestii czy hipnozy docierają tylko do osób, które interesują się tymi zjawiskami, które wkładają (co prawda niewielki) wysiłek w znalezienie odpowiedniej lektury.

Chcę przez to powiedzieć, że nie brakuje w Polsce publikacji ze wspomnianej dziedziny. Wystarczy bowiem wymienić choćby takie prace, jak **M. Gardnera** „Pseudonauka i pseudouczeni" (W-wa 1966), **W. Karczewskiego** „Zjawiska elektryczne w organizmie" (W-wa 1965), **J. Konorskiego** „Integracyjna działalność mózgu" (W-wa 1969) czy **L. Wasiljewa** „Tajemnicze zjawiska psychiki człowieka" (W-wa 1970). Tytuły można by zresztą mnożyć, ale nie o to przecież chodzi. Nie zamierzam sporządzać bibliografii, pragnę jedynie zasygnalizować, że takie książki są.

Chciałabym spróbować wyjaśnić niektóre zjawiska ludzkiej psychiki, posługując się informacjami zaczerpniętymi z ostatniej z wymienionych przed chwilą prac.

Dalszy ciąg na str. 3

HENRYK POLAK

KRZYSZTOF TUROWSKI

A MOŻE BYŚMY TAK NAJMILSI...

Fot. Archiwum

Czytaj na str. 7

RYSZARD BINKOWSKI

KOMPONENTY NA DOBRE SZCZEKANIE

Wartko płynie Ochnia, tocząc mętne, martwe wody: nad brzegami pustot i smutno, odeszli stąd rybacy i spacerowicze, gdyż ciężko oddychać. Kiedyś zakochana para tak się znarkotyzowała wyziewami, że trzeba było wzywać medyków. Smutno i wesoło, pół na pół...

Nad Ochnią miasto powiatowe przy ważnym szlaku międzynarodowym E-8: Berlin – Poznań – Warszawa – Moskwa. Już samym położeniem można się pochwalić, ale starsi mieszkańcy sięgają do przeszłości. Wymieniają dawną cukrownię „Konstancja", pierwszą fabrykę narzędzi i maszyn rolniczych (dzisiaj, panie, „Kraj" się nazywa), strajki kolejarzy, bitwę nad Bzurą; turyście-oglądaczowi polecą ratusz, zajazd przy Narutowicza i pałac Zawadzkich.

Zaczepiony przeze mnie na ulicy uczeń III klasy liceum powiedział:

— Kutno? To dziura w środku Polski. Nas, młodych, nie stać na przesiadywanie w „Magnolii" (restauracja i kawiarnia — przyp. R.B.), pozostaje więc Dom Kultury, ale tam jest tylko sala widowiskowa. Sytuację ratują ciekawe imprezy, organizowane przez Miejską Bibliotekę Publiczną.

— Może przesadził pan z tą „dziurą"? Czyżby naprawdę nie było czym się pochwalić?

— No, właściwie — zmieszał się chłopak — to jest o czym mówić. Mamy trzy licea, technikum ekonomiczne i mechaniczne, szkołę muzyczną. Powstają nowe osiedla, jest „Kraj" i zakłady radiowe „Milfex", są Azory.

— Co to są Azory?

— To nazwa parowozowni. Robotnicy tak ją nazwali, kiedy polscy lotnicy podczas próby pierwszego przelotu przez Atlantyk, rozbili się koło Azorów. Aha, zapomniałem wymienić

Dalszy ciąg na str. 6

HISTORIA

ANDRZEJ BLAJER

ANTOLOGIA ZAMACHÓW

Do wybuchu wojny miejscem częstych odwiedzin führera był Obersalzberg położony w malowniczej alpejskiej okolicy. Od 1936 r. na terenie wioski Obersalzberg zbudowano koszary dla oddziałów ochrony Hitlera, betonowe schrony, garaże, baraki. Cały obszar został ogrodzony drutem kolczastym, a wokół ustawiono wieże strażnicze. Do 1937 r. przed słynnym „Berghofem", gdzie Hitler mieszkał w czasie swoich pobytów w Berchtesgaden gromadziło się codziennie ok. 2000 ludzi przyjeżdżających ze wszystkich stron Niemiec, aby ujrzeć swojego führera. Zwykle pomiędzy godziną 15 a 16 udawał się on na spacer i wówczas przez kilka minut przebywał wśród otaczających go tłumów. Były to zawsze „gorące chwile" dla szefa jego ochrony oraz Bormanna, który ustawicznie dążył do ograniczenia owych bezpośrednich kontaktów Hitlera z „narodem".

W porównaniu z „Berghofem" monachijska siedziba Hitlera przy Prinzregentenplatz 16 prezentowała się znacznie skromniej, tym niemniej zapewnienie jej należytego bezpieczeństwa wymagało od urzędników służby kryminalnej znacznie więcej trudu. Dom znajdował się bez przerwy pod ścisłą obserwacją. Ponieważ jego dach był stosunkowo łatwo dostępny z dachów sąsiednich domów więc kominy wyposażono w zabezpieczenia uniemożliwiające wrzucenie do nich ładunku wybuchowego. W czasie wizyt Hitlera, na strychu kamienicy przez cały czas znajdował się funkcjonariusz ochrony, którego zadaniem było ubezpieczać dach. Przed domem natomiast zainstalowano posterunek SS-Begleitkommando, a wokół budynku rozstawiano patrole.

Jeżeli ktoś obcy chciał się dostać do wnętrza domu, musiał się najpierw zameldować i wylegitymować wartownikowi, poza tym nie każdy kto chciał mógł tam wejść. Jedynie bliscy znajomi lub krewni mieszkańców kamienicy byli wpuszczani przez wartę — co każdorazowo przedtem sprawdzano posługując się telefonem łączącym poszczególne mieszkania z wartownią. Podczas bytności Hitlera tylko w wyjątkowych wypadkach mieszkańcy domu mogli przyjmować gości. Oczywiście, nie istniał w tym względzie żaden oficjalny zakaz, gdyż führer wciąż powtarzał, że nie chce sprawiać mieszkającym tam ludziom niepotrzebnych kłopotów, lecz w praktyce obowiązywało zalecenie, aby nikogo obcego nie wpuszczać. Z czasem niektórych mieszkańców domu wykwaterowano, a na ich miejsce sprowadzili się ludzie należący do świty przybocznej wodza.

Zupełnie inny charakter nosiły środki bezpieczeństwa jakie podejmowano podczas publicznych wystąpień Hitlera. Odpowiedzialność za nie spoczywała bądź to na Reichstführerze SS Henrichu Himmlerze bądź na wyznaczonym przez niego wyższym dowódcy SS, który wraz z odpowiednim gauleiterem był obowiązany do opracowania szczegółowego planu ochrony osoby szefa państwa. Do ich dyspozycji przeznaczone były wówczas oprócz funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, również lokalne siły policyjne.

Cała trasa przejazdu kolumny rządowej była obstawiona agentami policji zazwyczaj po cywilnemu, którzy przemieszani z tłumem pilnie zwracali uwagę na wszystko co działo się wokół nich. W tym czasie nikomu nie wolno było przebywać na dachach domów stojących wzdłuż trasy przejazdu, dotyczyło to także policjantów co nie przeszkadzało by wszystkie dachy były przez nich bacznie obserwowane. Z kolei właścicielom tych domów polecono, na czas przejazdu samochodów Hitlera i świty, zamknąć strychy i piwnice, a mieszkańcom nie wolno było wówczas przyjmować nikogo obcego, zaś każdemu kto nie zastosowałby się do tego zarządzenia groziło w najlepszym przypadku wysłanie do obozu koncentracyjnego. Można było się tam przecież łatwo znaleźć za daleko błahsze „przestępstwa" jak np.: za odmowę hitlerowskiego pozdrowienia. Za wykonanie tych zarządzeń, które dotyczyły także dyrektorów hoteli i właścicieli sklepów, byli odpowiedzialni odpowiedni blockleiterzy i zellenleiterzy NSDAP.

Wszystkie nie zamieszkane domy były starannie przeszukiwane i obsadzane przez agentów policji. Podczas wyznaczania trasy przejazdu skrzętnie omijano wszelkie wąskie ulice, zaś miejsca zaciemnione były oświetlane przy pomocy reflektorów. Mimo to, środki jakie przedsiębrała ochrona Hitlera do 1939 r. były, jeżeli brać pod uwagę ich zasięg, znacznie skromniejsze w porównaniu z tymi jakie stosowano już w niespełna cztery lata później.

Dalszy ciąg na str. 4

USŁUGI

Rozwój działalności usługowej powinien iść w parze z rozwojem przemysłu. Nie jest to jednak zależność prosta. Rozwój przemysłu zawsze znacznie wyprzedza rozwój usług. Ale im kraj jest wyżej uprzemysławiany, tym wyższy jest poziom usług. Zależność ta wynika nie z tego, że pracownicy wielkich i małych zakładów przemysłowych chcą maksymalnie wykorzystać swój czas wolny, ale przede wszystkim z tego, że wysoka technika wkracza również do przedsiębiorstw i zakładów usługowych. Inwestowanie w usługach jest wyjątkowo opłacalne i szybko przynosi zysk.

U nas działalność usługowa ma również walor społeczny. Jej celem jest ułatwianie życia ludziom. Powinna jednakże przynosić dochód, a tym samym sprzyjać dalszemu rozwijaniu tej dziedziny działalności gospodarczej. Postępowi w przemyśle powinien nieuchronnie towarzyszyć postęp w przedsiębiorstwach usługowych. Przede wszystkim dlatego, że człowiek nie może marnotrawić czasu przeznaczonego na regeneracje jego sił. A poza tym dlatego, że coraz więcej pojawiających się na rynku towarów przeznaczonych do codziennego użytku wymaga sprawnie działającego service'u. Przykładem może być motoryzacja. Na ulicach pojawiają się już fiaty 126p, a poziom obsługi samochodowej pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Państwo — mimo różnorodnych trudności — systematycznie dąży do podnoszenia poziomu życia obywateli. Dokonuje się kolejnych regulacji płac, a to nieuchronnie prowadzi do wzrostu społecznych wymagań. Jeśli w 1970 roku jeden statystyczny mieszkaniec Polski wydawał na usługi **2 875 zł**, to już w dwa lata później — **3 274 zł**. A przecież w niektórych dziedzinach działalności usługowej **popyt daleko wyprzedza podaż**. A przecież w niektórych działach usług wyposażenie techniczne zakładów pozostawia wiele do życzenia.

Łódź ma szczególne predyspozycje po temu, aby był tu wysoki poziom usług. Warunkuje to wysoki — najwyższy w kraju — odsetek kobiet pracujących. Jak również szybkie tempo przeobrażeń gospodarczych miasta. Dokonujący się proces modernizacji i rozbudowy Łodzi stwarza okazję dla intensywnego rozwoju tej dziedziny gospodarki w mieście. Koncentracja uwagi na prawidłowym postępie budownictwa mieszkaniowego i przemysłowego nie może przeszkadzać rozwojowi przedsiębiorstw usługowych. Przeciwnie. Powinna ten rozwój warunkować, a to choćby już tylko dlatego, że powstawanie nowych osiedli, otrzymywanie nowych mieszkań, wydłużanie się drogi z domu do pracy wymaga zwiększenia tempa przy zaspokajaniu popytu na różnorodną działalność usługową.

Statystyczny łodzianin wydał w 1970 roku na usługi **4 468 zł**, a w 1972 roku — **5 158 zł**. A więc znacznie więcej niż w tym samym czasie wydał statystyczny Polak, ale jednocześnie znacznie mniej niż statystyczny warszawianin, mieszkaniec Krakowa czy Poznania. W 1972 roku statystyczny mieszkaniec **Warszawy** wydał **o 3 585 zł. więcej, Poznania — o 1 055 zł**, Krakowa — o **132 zł** więcej. Jest to tym bardziej dziwne, że zarówno Kraków jak i Poznań mają mniej placówek usługowych. Ale liczby są tu mylące, jeśli nawet w 1972 roku **w Łodzi było 589 punktów przyjęć i świadczenia usług** — jak to się oficjalnie nazywa w statystyce GUS — a w Krakowie — **570**, w Poznaniu — **377**, to trzeba przecież pamiętać o znacznej różnicy w ilości mieszkańców w tych trzech miastach.

W Łodzi w szybkim tempie wyrastają nowe dzielnice, wielkością dorównujące niejednemu powiatowemu miastu, ale pod względem wyposażenia w zakłady usługowe i sklepy przypominające raczej dalekie, zaniedbane wsie. Na **Teofilowie „B"**, gdzie ma mieszkać przeszło 9 tys. osób, plan budownictwa mieszkaniowego do połowy ubiegłego roku wykonano w 122,2 proc., a plan wyposażenia tego osiedla w placówki usługowe zaledwie w 63,3 proc. Na **Teofilowie „C"** — według danych z tego samego czasu — plan budownictwa mieszkaniowego zrealizowano w 95,7 proc., a plan wyposażenia w zakłady usługowe i handlowe tylko w 52,9 proc. Na **Retkini — Wschód** pod koniec ubiegłego roku miało już mieszkać około 10 tys. osób, a do tej pory wybudowano tam tylko jeden, niewielki pawilon usługowy.

POWODY DO NIEZADOWOLENIA

Pojęcie działalności usługowej jest niezwykle szerokie. W zakres tego pojęcia wchodzi wszystko, co **sprzyja zaspokajaniu różnorodnych potrzeb życiowych ludzi, co służy zaspokajaniu potrzeb kulturalnych człowieka, pozwala mu należycie wykorzystać jego czas wolny, a tym samym sprzyja postępowi, pozwalając ludziom koncentrować się na ich zasadniczej, zawodowej i społecznej działalności.** W potocznym mniemaniu jednakże, kiedy mówimy o usługach, myślimy najczęściej o prostej, nieskomplikowanej działalności rzemieślniczej. Tymczasem również usługi przechodzą istotny proces uprzemysławiania. Czy w tempie i na poziomie dorównującym potrzebom? Czy w tej dziedzinie korzystamy z najlepszych doświadczeń innych krajów, choćby naszych sąsiadów tylko?

Proces inwestycyjny w łódzkich przedsiębiorstwach usługowych przebiega z poważnymi opóźnieniami, a ma to zasadniczy wpływ na poziom obsługi klientów. Z roku na rok narasta „portfel" zaległości. W 1971 roku handel gastronomia i usługi miały otrzymać od zagospodarowania **9 453** m kwadratowe powierzchni nowych lokali, a otrzymały tylko **4 387**. W roku następnym **zaległości** w stosunku do planu wyniosły **4 919** m kwadratowych i w roku ubiegłym przeszło **9 tys.** m kwadratowych. Opóźnienia występują również przy budowie zakładów usługowych, bez działalności których same punkty przyjęć nie odgrywają większej roli. Na przykład **zakład pralniczy** przy ul. Felsztyńskiego, podległy **Łódzkiemu Związkowi Spółdzielczości Pracy**, budowany będzie przez **LPBP „Przebud"** o prawie rok dłużej niż to planowano, a między innymi dlatego, że wynikła potrzeba zmiany dokumentacji. Z opóźnieniem prawie rocznym oddano do użytku **stację obsługi samochodów** przy ul. Limanowskiego. Dla sprawiedliwości trzeba jednak dodać, że niektóre inwestycje — jak np. budowa wędliniarni na Teofilowie — przebiegały i przebiegają rytmicznie i zgodnie z planami. Jednakże **opóźnienia** — wcale niebagatelne — **mają zasadniczy wpływ na rozwój usług w mieście.**

Skoncentrowanie uwagi również na procesie inwestycyjnym w tej tak ważnej dziedzinie życia miasta, przyczyni się niewątpliwie do podniesienia poziomu działalności usługowej. Ale to nie wystarczy. Trzeba także dążyć do **zasadniczej zmiany stylu, do usprawnienia organizacji, do wprowadzenia coraz to nowych form działalności.** W tej dziedzinie jest też wiele do zrobienia.

Powszechnie wiadomo, że drobna wytwórczość, w zasięgu której znajdują się również zakłady usługowe, nie przekroczyła jeszcze barier należytego wyposażenia technicznego, nie przekroczyła bariery dobrego zaopatrzenia. Są to niewątpliwie czynniki hamujące postęp w usługach, ale i w tej dziedzinie wiele już zmieniło się na lepsze, a dalsze zmiany są nieuchronne. Gospodarka musi bowiem rozwijać się harmonijnie, a lekceważenie jednej jej dziedziny będzie wpływało ujemnie na całość.

Czynnikiem hamującym usługi jest jeszcze też ich organizacja, której niedostatki wynikają z przewagi popytu nad podażą. Skoro ludzie czekają w kolejce na wykonanie danej usługi, to nie ma powodów, aby się wysilać. I między innymi dlatego, nie ma u nas rzeczywistej informacji usługowej. Podanie adresu krawca, szewca, szklarza, spółdzielni remontowej czy innej — jest tylko wstępem do informacji. W końcu taką informację można znaleźć w książce telefonicznej. Potencjalny klient powinien otrzymać coś więcej, powinien zostać zorientowany, co i gdzie mu zrobią, w jakim terminie. To na początek, bo w Budapeszcie np. właściciel popsutego telewizora dzwoni do informacji, podając jedynie swój adres — resztę załatwiają już oni, on tylko dowiaduje się, kiedy przyjdzie fachowiec. Dla nas brzmi to niczym bajka, ale bajką nie jest.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DLA SIEBIE i DLA POLSKI

Przez 30 lat władzy ludowej zmieniła się Ziemia Łódzka. Z rolniczej, o tradycyjnym przemyśle włókienniczym stała się regionem przemysłowym. Wyrosły nowe dzielnice w miastach, przebudowuje się wieś, rośnie produkcja zakładów przemysłowych, rośnie produkcja rolna i hodowla. Na kilku ostatnich posiedzeniach Komitetu Wojewódzkiego partii w Łodzi omawiano najbardziej aktualne problemy gospodarcze i społeczne województwa łódzkiego, kreślono plany na najbliższą przyszłość, ustalano środki i metody postępowania, aby móc w dwu ostatnich latach bieżącej pięciolatki utrzymać wysokie tempo rozwoju gospodarczego i społecznego Ziemi Łódzkiej.

„Realizując program XII Plenum KC PZPR — mówił na spotkaniu aktywu partyjnego i społecznego w Pabianicach I sekretarz KW PZPR w Łodzi — Zbigniew Zieliński — **mamy świadomość, że tylko rzetelną, mądrą i wydajną pracą możemy poprawić warunki życia i tworzyć dalsze podstawy społeczno-gospodarczego rozwoju naszego regionu i kraju. Mamy wiele do zrobienia. W miastach i miasteczkach naszego województwa zamierzamy wybudować w tym roku ponad 20 tys. nowych izb, to jest o 2 200 więcej niż zakładano początkowo, ale zdajemy sobie sprawę, że nie zaspokoimy wszystkich nabrzmiałych potrzeb. Dlatego też prowadzimy intensywne przygotowania do budowy trzech nowych fabryk domów, aby stworzyć dodatkowe możliwości dla przyśpieszenia budownictwa mieszkaniowego. Terminowe ich uruchomienie uzależnione jest od załóg przemysłu metalowego, które poza planowymi zadaniami podjęły się wyprodukowania niektórych urządzeń. W przyśpieszonych terminach realizujemy obiekty służby zdrowia, oświaty, kultury, rekreacji i usług bytowych ludności. Budujemy drogi i poprawiamy komunikację".**

Jest to wielki program poprawy warunków życia ludności województwa łódzkiego, wielki program dalszego rozwoju tej ziemi. Ustalone zadania na poszczególnych posiedzeniach Komitetu Wojewódzkiego PZPR pozwolą utrzymać wysokie tempo pracy i osiągnąć a nawet w poszczególnych dziedzinach przekroczyć zamierzenia. Ten wzmożony wysiłek społeczeństwa Ziemi Łódzkiej będzie najlepszą formą uczczenia 30 rocznicy powstania Polski Ludowej.

Na XIII Plenum KC PZPR dokonano marksistowskiej oceny naszej najbliższej przeszłości, a jednocześnie w „Tezach Komitetu Centralnego" zawarto wizję przyszłej Polski. Kraju ludzi kulturalnych i żyjących dostatnio. Realizację tej wizji rozpoczęliśmy już dziś, pomnażając nasz potencjał gospodarczy, wyzwalając społeczną inwencję, pobudzając społeczne inicjatywy. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nowoczesną Polskę musimy zbudować naszym wspólnym wysiłkiem. **„...pracując dla Polski** — powiedział w Katowicach I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek — **pracujemy dla siebie. I odwrotnie: pracując dla siebie, dla pomyślności własnej rodziny, dla jej życiowych perspektyw — pracujemy dla Polski".**

Pamięć o tej prawdzie w naszej codziennej pracy decydować będzie o naszych powodzeniach. Od nas wszystkich bowiem zależy to, czy uczynimy Polskę krajem nowoczesnym, krajem, w którym do przeszłości należeć będą wszystkie opóźnienia i zaniedbania, który będzie utrzymywał się w światowej czołówce, dorównując postępowi w technice i nauce.

Dumni jesteśmy z naszej przeszłości i często sięgamy wstecz, aby szukać tam wzorów postaw, dzięki którym możliwa była rewolucja, dzięki którym kraj mógł szybko podnieść się z wojennych zniszczeń. Na zawsze w pamięci społecznej pozostaną ci, którzy swoje życie poświęcali dla umacniania i budowania władzy ludowej. Nie wystarczy jednak tylko o nich pamiętać, trzeba w codziennym trudzie wzorować się na postawach tych ludzi, trzeba stawiać ich za wzór młodym. I to jest jedna z wielkich spraw, jakie mamy do zrealizowania w wielkiej ofensywie ideologicznej zapoczątkowanej na XIII plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego partii.

Musimy pracować jeszcze lepiej, wydajniej — tak mówili na spotkaniu w Pabianicach aktywiści Ziemi Łódzkiej. Musimy wykorzystać wielką szansę, jaką jest przyszłość naszego kraju. Ale nie powinniśmy zapominać, że pracując dla przyszłości, zmieniamy na lepsze i teraźniejszość, że pracą na dziś, tworzymy podwaliny dla osiągnięć jutra.

„Cenną formą uczczenia jubileuszu Polski Ludowej — powiedział na spotkaniu w Pabianicach I sekretarz KW PZPR — Zbigniew Zieliński — **są czyny społeczne i różnorodne inicjatywy mieszkańców miast i wsi, dotyczące porządkowania i upiększania miast, wsi, osiedli, zakładów pracy i miejsca pracy".**

Wielkie są możliwości dla zorganizowanego i przemyślanego społecznego wysiłku. I te możliwości powinny być spożytkowane dla naszego wspólnego dobra, dla dobra kraju i mieszkańców Ziemi Łódzkiej. Rozumiejąc taką konieczność uczestnicy spotkania w Pabianicach zwrócili się do całego społeczeństwa województwa łódzkiego z apelem:

Zwracamy się do was — ludzie pracy miast i wsi — o wzmożony wysiłek, wydajną pracę, o aktywne działanie na rzecz zapewnienia realizacji zadań produkcyjnych, poprawy warunków socjalno-bytowych na rzecz ładu i porządku. Powszechnie podejmujemy zobowiązania produkcyjne i czyny społeczne pomnażając dorobek materialny, kulturalny i społeczny naszego województwa.

Niech wyniki naszych wysiłków i twórczych poszukiwań coraz lepiej służą wszystkim mieszkańcom pięknej Ziemi Łódzkiej, niech dobrze służą Polsce, naszej socjalistycznej ojczyźnie. W tym patriotycznym wysiłku społeczeństwa Ziemi Łódzkiej nie powinno zabraknąć nikogo z nas.

M. R.

PROSZĘ O GŁOS!

POCIĄG Nr 1607

Pisanie w „Odgłosach" o Polskich Kolejach Państwowych stało się już tradycją. Nawet trochę nudną. Bo też przypomina to słynne mówienie dziada do obrazu, z tym, że w roli dziada występujemy my — piszący na łamach „Odgłosów" o PKP. Nasze ukochane Koleje Państwowe doszły już do perfekcji w omijaniu obowiązujących powszechnie w kraju przepisów i norm prawnych, i rządzą się własnymi zasadami. Nie obchodzi ich Kodeks Postępowania Administracyjnego, który zobowiązuje do odpowiadania w określonym czasie na krytykę, nie wzruszają listy Premiera, regulujące sprawy informacji i krytyki prasowej, nie obchodzą dobre obyczaje, nie pomaga odwoływanie się do ministra komunikacji. Milczenie PKP jest wręcz doskonałe.

Opisując moją kolejną przygodę z PKP, nie liczę na to, że ktoś to weźmie do serca i odezwie się, że przeprosi, a także obiecа poprawę. Piszę to dla ludzi, którzy muszą od czasu do czasu podróżować, a nie mając innych możliwości, muszą korzystać z tego, co niesłusznie nazywa się usługami PKP. Bo i jakież to usługi? Piszę więc po to, aby ludzie zmuszeni do podróżowania na liniach PKP wiedzieli przynajmniej, co ich czeka. Świadomość najgorszego może uczynić podróż przynajmniej znośną.

2 marca 1974 roku, w sobotę, postanowiłam wrócić z Warszawy do Łodzi pociągiem expresowym „Odra", odchodzącym z dworca Głównego w Warszawie o godzinie 16.25. Jest to pociąg oznaczony numerem 1607, pociąg z miejscami rezerwowanymi.

Na dworcu Głównym w Warszawie, jak w każdą sobotę przed kasami stały gigantyczne kolejki. Odstałam swoje i prawdę mówiąc nie miałam nadziei na otrzymanie biletu i miejscówki. Ale nie. Kasjerka, sprzedając mi bilet do Łodzi, uprzejmie poinformowała, że miejscówkę dostanę na pewno w wagonie „A".

Uradowana popędziłam do pociągu. Przed każdym wagonem stała spora grupa ludzi, a przed wagonem „A" było pusto i spokojnie. Okazało się jednak, że do tego wagonu zmierza więcej takich szczęśliwców jak ja. Weszło nas chyba z sześć osób i zaczęliśmy się rozglądać za konduktorem, który miał nam sprzedać miejscówki.

Konduktor znalazł się bardzo szybko. Okazał się być kobietą, która jak furia wpadła do wagonu, krzycząc:

— Kto nie ma miejscówki, wysiadać!

Próbowałam nawiązać dialog.

— Czy pani sprzeda nam miejscówki przed wagonem?

Ale pracownik Polskich Kolei Państwowych, nauczony już unikania dialogu, podtrzymywała swoje:

— Kto nie ma miejscówki, wysiadać!

— Czy to znaczy że nie pojedziemy tym pociągiem? — pytałam ciągle, jeszcze w nadziei, że a nuż uda mi się nawiązać dialog z pracownikiem PKP.

— Kto nie ma miejscówki, wysiadać!

W tym miejscu próba nawiązania dialogu z pracownikiem PKP została brutalnie przerwana. Konduktorka uznawszy, że powiedziała swoje, zaczęła energicznie wypychać naszą grupę zdezorientowanych pasażerów z wagonu. I trzeba przyznać, że jej się to udało.

— Skąd w tej babie tyle siły? — zdziwił się starszy, dystyngowany, szpakowaty pan, znalazłszy się znów na peronie. I podążył za resztą do wejścia w wagonie „B", przez które to cała nasza grupa powróciła na utracone pozycje w wagonie „A".

Nie mam zupełnej pewności, czy wszyscy pasażerowie, którzy na stacji Warszawa — Główna wykupili bilety na pociąg nr 1607, dostali się do wagonu. Wiem natomiast zupełnie dokładnie, że wagon z miejscami rezerwowanymi był dokładnie przepełniony. W moim przedziale na osiem miejsc rezerwowanych podróżowało 11 osób. Znalazła się wśród nas również pani z biletem pierwszej klasy, którą kasa biletowa na dworcu Głównym w Warszawie poinformowała, że w wagonie pierwszej klasy są jeszcze miejsca rezerwowe. W wagonie tym była jednak również bojowa konduktorka, która niczym „szlachcic na zagrodzie równa wojewodzie", zdecydowała, że to ona sprzedaje miejsca rezerwowane i nikt jej się tu nie będzie wtrącał. Pani z biletem pierwszej klasy podróżowała z Białegostoku i było jej już wszystko jedno, jak i czym będzie jechać, byle tylko mogła dojechać do Wrocławia. Jechała więc w naszym przedziale, szczęśliwa, że choć co pół godziny może przysiąść, zmienialiśmy się bowiem miejscami, aby wszyscy mogli trochę postać i posiedzieć. Miała też nadzieję, że od Łodzi przypadnie jej w udziale jedno całe miejsce siedzące.

I na tym powinnam właściwie skończyć opis mojej podróży pociągiem nr 1607, który to opis dedykuję wszystkim potencjalnym podróżnym. Ale nurtuje mnie kilka pytań, na które wiem, że nie otrzymam od PKP odpowiedzi, ale które muszę zadać z zupełnie wewnętrznej i irracjonalnej przyczyny. Po prostu, aby być w porządku sama z sobą.

Po pierwsze — dlaczego kasa sprzedaje nieograniczoną ilość biletów do pociągu z ograniczoną ilością miejsc?

Po drugie — dlaczego pasażerów PKP z pełnoprawnymi biletami, sprzedanymi przecież na dany pociąg, traktuje się niczym intruzów?

Po trzecie — kto zwróci „Pani z biletem pierwszej klasy", która podróżowała do Wrocławia drugą, różnicę między ceną biletu pierwszej a drugiej klasy? W przeciwnym wypadku niezwłocznie znalazłby się funkcjonariusz PKP, który pobrałby od pasażera różnicę w cenie biletu, gdyby ten z biletem drugiej klasy podróżował w pierwszej. A przecież działo się to w pociągu z ograniczoną ilością miejsc i jeśli kolej pobiera dodatkową opłatę za rezerwowanie miejsc, to powinna to czynić z całą odpowiedzialnością, zdejmując z pasażera ryzyko podróżowania na jednej nodze w przepełnionym przedziale.

Po czwarte — dlaczego na liniach PKP dzieje się coraz gorzej, choć w oficjalnych deklaracjach ludzi odpowiadających za komunikację w Polsce słyszy się zapewnienia, że jest i będzie coraz lepiej. A przecież moja opowieść o pociągu nr 1607 jest kolejną opowieścią w łańcuszku podobnych.

Po piąte — kiedy otrzymamy jakikolwiek list od PKP, w którym choćby tylko napisano, żebyśmy się od nich odczepili, a najlepiej będzie jeśli w ogóle przestaniemy podróżować środkami lokomocji ze znakiem PKP. W końcu jest jeszcze PKS i LOT.

BOGDA MADEJ

PS. A gdyby komuś moje uwagi przydały się do czegoś tam w PKP, to informuję, że pracownik PKP, z którym nie udało mi się nawiązać dialogu miał służbowy numer 1633.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

Zaczęło się wszystko bardzo prosto i zwyczajnie. 25 czerwca 1946 r. ogłoszono dekret o stworzeniu przedsiębiorstwa wydawniczego pod nazwą „PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY". Niemal symboliczne wydają się dziś jego pierwsze pozycje: Stefana Żeromskiego „Wiatr od morza" i „O żołnierzu tułaczu" oraz ładnie wydany album „Warszawa 1939—45". Od tego czasu PIW przeszedł ogromną drogę rozwoju: od 23 tytułów w pierwszym roku istnienia do ponad 260 tytułów rocznie obecnie, od charakterystycznych dla początków jego działalności broszur propagandowych o wyborach, o zasiedlaniu Ziem Zachodnich — do wielkich przedsięwzięć kulturalnych w rodzaju wielotomowej „Bibliografii literatury polskiej" według Gabriela Korbuta, „Księgi przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich" Samuela Adalberga (przygotowanej przez zespół redakcyjny pod przewodnictwem prof. Juliana Krzyżanowskiego), czy ostatnio monumentalnej, 11-tomowej edycji „Pism wszystkich" Cypriana Kamila Norwida.

Po okresie poszukiwań profilowych i wypełniania obowiązków wynikających z doraźnych potrzeb chwili bieżącej, właśnie edycje klasyków opatrzone aparatem edytorskim w maksymalnym stopniu ułatwiającym czytelnikom odbiór dzieła literackiego (przystępnie napisane wstępy, komentarze, przypisy), stały się dla Wydawnictwa głównym tytułem do dumy.

Nakładem PIW-u ukazały się, że przypomnimy tylko najważniejsze osiągnięcia w tym zakresie, „Dzieła polskie" Jana Kochanowskiego w oprac. prof. J. Krzyżanowskiego, wydania krytyczne „Pism wszystkich" St. Trembeckiego oraz „Pism wszystkich" A. Fredry, pełne wydanie „Kronik" Prusa i „Pisma" T. Boya-Żeleńskiego, „Dzieła literackie" Z. Krasińskiego i fundamentalna edycja „Dzieł" H. Sienkiewicza w 60 tomach, która stanowi podstawę do wydawanych co roku licznych wznowień tego najpopularniejszego polskiego pisarza. PIW posiada również niemały dorobek w zakresie przekładów z wielkiej klasyki światowej. Znalazło to szczególny wyraz w dziedzinie literatury francuskiej (pisma Stendhala, twórczość Hugo i Emila Zoli, którego 20-tomowy cykl Rougon-Macqartów po raz pierwszy dotarł do rąk polskich czytelników), angielskiej (liczne wydania Szekspira, wielotomowa edycja dzieł Byrona, będące w pełnym „biegu" pierwsze na świecie pełne, 28-tomowe wydanie utworów Conrada), rosyjskiej (duży wybór utworów Puszkina, dzieł Turgieniewa, Lwa Tołstoja, Dostojewskiego, Gorkiego), niemieckiej (wielotomowe wybory Lessinga, Schillera, Goethego, Heinego) czy skandynawskiej (dramaty Ibsena i Strindberga).

Realizacja tego imponującego swoją rozległością programu w dziedzinie klasyki polskiej i światowej nie przeszkadza PIW-owi intensywnie zajmować się literaturą współczesną. Jak wyraził się kiedyś żartobliwie jeden z dyrektorów oficyny z ul. Foksal, wszyscy niemal wybitniejsi pisarze polscy od „A"(ndrzejewskiego) do „Ż"(ukrowskiego) publikowali swoje książki w PIW-ie. Mocną stroną Wydawnictwa są również przekłady ze współczesnej beletrystyki obcej. Nastawiona na „nowalijki" zagranicznej literatury pięknej seria „Współczesnej Prozy Światowej" przyniesie w 1974 r. 19 nowych pozycji, w tym utwory literatury belgijskiej, chilijskiej, francuskiej, japońskiej (interesująca „Sprawa osobista" Oe Kenzaburo), kolumbijskiej (najambitniejsza powieść Ameryki Łacińskiej: „Sto lat samotności" G. G. Marqueza), NRD, NRF, szwajcarskiej, USA, węgierskiej, włoskiej, ZSRR (nowa wybitna powieść znanego już na gruncie polskim pisarza W. Bykowa „Obelisk").

Z tą bogatą prezentacją renomowanych współczesnych nazwisk, starannie wybranych z twórczości krajowej i zagranicznej, idzie w parze tendencja do upowszechnienia w tanich, masowych edycjach utworów dobrze już sprawdzonych w obiegu czytelniczym. W roku 1974 poważnie rozbudowana zostanie seria kieszonkowa PIW-u, która — jeśli tylko pozwoli na to zaopatrzenie materiałowo-papierowe — dostarczy 26 tytułów w nakładzie ok. 3 mln egz., „Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej" zaproponuje 11 nowych pozycji, z czego na szczególne podkreślenie zasługuje od dawna bezskutecznie poszukiwany 7-tomowy cykl M. Prousta „W poszukiwaniu straconego czasu", bardzo przydatny dla potrzeb szkolnych „Wybór pism" M. Reja oraz nie wznawiane po wojnie „Pamiątki Soplicy" H. Rzewuskiego. W Bibliotece Literatury XXX-lecia, która dzięki połączeniu ambitnych treści z nowoczesną szatą zewnętrzną (zasługa pracowni graficznej PIW!) szturmem zdobyła rynek, ukażą się staraniem oficyny z ul. Foksal utwory 11 współczesnych pisarzy polskich. Do wydań masowych można też niewątpliwie zaliczyć zarówno 10-tomowy „Wybór utworów" B. Prusa (50.000 nakładu), jak i ...wznowienia ilustrowane fotosami z filmów „W pustyni i w puszczy" (300.000 egz. oraz „Potopu" (100.000 egz.) H. Sienkiewicza.

Państwowy Instytut Wydawniczy, dochowując wierności tradycyjnym kierunkom swoich zainteresowań, okazał się chłonny dla wszelkich „nowinek", podpowiadanych przez ewoluujące w kierunku „piękniejszej" literatury gusta czytelnicze, okazał się wydawnictwem otwartym i żywym, przejawiającym stale nową inicjatywę. Ciekawe, może niekiedy nawet bardziej pouczające niż lektura naukowych rozpraw na temat socjologii czytelnictwa, jest przyjrzenie się, jakimi to nowymi dziedzinami piśmiennictwa „obrósł" nieskazitelnie kiedyś literacki profil PIW-u.

W planie na rok 1974 figurują zatem: socjologia, historia, historia kultury, wspomnienia i pamiętniki, biografistyka, epistolografia, literaturoznawstwo, filologia i językoznawstwo, krytyka, teoria i historia sztuki, teatrologia i film, eseje polityczny. Te naukowe i poplarnonaukowe publikacje z różnych dziedzin humanistyki znalazły bardzo szczęśliwie dobrane „opakowanie" w postaci serii, których PIW prowadzi ponad dwadzieścia, przy czym wszystkie rozwijają się od lat systematycznie, wszystkie są też namiętnie kolekcjonowane przez czytelników. Ta „szczęśliwa ręka" PIW-u do tworzenia serii o starannie przemyślanym, wieloletnim programie jest rezultatem ścisłej współpracy Wydawnictwa z całą plejadą wybitnych pracowników nauk humanistycznych, wynika ze stabilności zespołu, z zakorzenionych w oficynie z ul. Foksal tradycji pracy zespołowej. Bez tych tradycji, bez współdziałania wszystkich niemal redakcji literatury przekładowej i polskiej, nie powstałyby takie reprezentacyjne serie, jak „ceramowska", która zapoczątkowała zwrot PIW-u ku autentykowi i której każdy nakład rozchodzi się dziś błyskawicznie. W roku 1974 seria ta zapozna nas z kulturą świata hellenistycznego i z życiem Wikingów, z dziejami imperium perskiego i z zarysem historii kultury Chin, zabierze w „Podróż po Włoszech" i oprowadzi po „Pradze w legendzie i rzeczywistości". Nie wszystkie serie PIW-u są oryginalne, niektóre zostały zapożyczone, ale i te wzięte z obcych wzorów, są w sposób twórczy adaptowane dla naszych własnych potrzeb. Tak np. w serii monografii poświęconych życiu codziennemu w różnych epokach, która na początku korzystała wyłącznie z przekładów, obecnie ukazuje się coraz więcej tomów stanowiących polską kontynuację cyklu (w r. 1974 obok książki J. Robiqueta „Życie codzienne w czasach Rewolucji" zapowiedziana jest publikacja B. Baranowskiego „Życie codzienne w małym miasteczku w Polsce w XVII i XVIII w."

Z dużym zainteresowaniem spotkała się Biblioteka Myśli Współczesnej, z którą Wydawnictwo wiąże nadzieje na przełamanie wąskiego dotychczas kręgu odbiorców eseistyki w Polsce i spopularyzowanie tego gatunku piśmiennictwa. Spośród tomików awizowanych w planie roku 1974 warto w szczególny sposób zarekomendować trzy pozycje: „Życie po miejsku" M. Czerwińskiego, „Drogi wyjścia z zacofania" J. Kleera oraz książkę amerykańskiego dziennikarza A. Tofflera „Szok przyszłości", kreślącą w sumie dość przerażającą wizję zmian, jakie zachodzą w obyczajach, w codziennym życiu ludzi pod wpływem lawinowego rozwoju techniki.

Trudno byłoby tu wskazać na wszystkie wątki tematyczne, mieszczące się w różnostronnej i różnokierunkowej działalności edytorskiej PIW-u, wymienić wszystkie planowane publikacje, bez których o ileż uboższe byłoby nasze życie kulturalne. Wydawnictwo sięga swoimi zainteresowaniami w zamierzchłe dzieje Polski („Wybór kronik średniowiecznych"), ale pasjonuje się również historią najnowszą („W obronie dzieci i młodzieży w Warszawie w czasie II wojny światowej" w oprac. St. Tazbira. „Akcje zbrojne w Warszawie w latach 1939—1944"). Przyswaja rynkowi cenne dokumenty polskiej epistolografii (pierwsze od lat kilkudziesięciu pełne wydanie listów Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej i stanowiące niezastąpione źródło do poznania biografii i twórczości pisarza „Listy" Reymonta) i kontynuuje swoją „Bibliotekę Pamiętników Polskich i Obcych" (w r. 1974 pozycja fundamentalna: „Pamiętnik dziecka Warszawy" K. W. Wójcickiego). Publikuje fundamentalne pozycje z zakresu historii kultury („Dzieje papieży" L.von Ranke), oraz intensywnie rozwija dział teatraliów (książka J. Grotowskiego o celach i metodach pracy głośnego Teatru-laboratorium we Wrocławiu pt. „Ku teatrowi ubogiemu" i pierwszy polski zarys pantomimy, ale jednocześnie dokumentalna, o podstawowym znaczeniu dla znajomości kultury robotniczej w Polsce, publikacja E. i M. Wodnarów „Polskie sceny robotnicze 1918—1939").

Państwowy Instytut Wydawniczy prezentuje pogląd, że oryginalne teksty twórców polskich i obcych powinny mieć niejako własne zaplecze w postaci opracowań i materiałów dokumentalnych. Oficyna z ul. Foksal publikuje więc spuściznę twórczą Witkacego, a jednocześnie wyda pracę monograficzną o dramaturgii oraz powieściach tego pisarza, stale wznawia najważniejsze utwory Alberta Camusa, a na rok 1974 przygotowuje monografię o nim pióra. W. Natansona („Szczęście Syzyfa"), dba o to, aby na rynku księgarskim obecne były „Przygody dobrego wojaka Szwejka" i zapowiada „Raport o Jarosławie Haszku" R. Pytlika, będący niezmiernie interesującym przyczynkiem do dziejów powstania tej powieści. Rolę swoistych przewodników po twórczości autorów polskich, wydawanych przez PIW, pełni gorąco zaakceptowaną przez krytykę i czytelników seria „Portretów Współczesnych Pisarzy Polskich", z której projektów na rok 1974 warto wymienić m.in. sylwetki Leona Kruczkowskiego w oprac. St. W. Balickiego i Tadeusza Brezy w oprac. J. Pieszczachowicza.

Bardzo charakterystyczny, świadczący o zdecydowanej chęci PIW-u dotrzymywania kroku istotnym wydarzeniom w naszym życiu kulturalnym, jest rejestr pozycji zaplanowanych przez Wydawnictwo dla uczczenia ważnych pisarskich rocznic. Tak więc na 300-lecie śmierci J. Miltona ukaże się w pięknej, drukowanej na „biblijnym" papierze „Bibliotece Poezji i Prozy" jego słynny, nie tłumaczony dotąd w Polsce poemat pt. „Raj utracony", na 100-lecie urodzin T. Boya-Żeleńskiego wyjdzie ozdobny wybór satyr, parodii, pastiszów poświęconych Boyowi wraz z bogatą prezentacją karykatur tego pisarza pt. „Boy-Żeleński w krzywym zwierciadle", na 80-tą rocznicę śmierci Jana Matejki (co prawda minęła w roku ubiegłym) pojawi się w serii „Ludzie Żywi" poświęcona mu opowieść biograficzna M. Szypowskiej, wreszcie w związku z 50-leciem śmierci Conrada PIW przygotowuje książkę Z. Najdera „Conrad żywy" i zbiorowy tom „Conrad w oczach krytyki światowej".

O tym, że PIW jest niechętny zasklepianiu się w raz przyjętej formule (oficyna „zapatrzona w przeszłość"), świadczy fakt, że coraz częściej w ramach głośnej serii „Polemiki" oraz w serii „Świat" (w r. 1974 książka E. R. Garcii „Ameryka Łacińska dzisiaj") oddaje w ręce czytelników teksty głęboko drążące naszą współczesność, dostarczające materiału do aktualnych przemyśleń i analiz.

Jeżeli do tego, co powiedzieliśmy powyżej, dodamy ogromną dbałość o estetyczno-plastyczny kształt wypuszczanych w świat dzieł, o dobór papieru, właściwego formatu, o dobrze reprodukowane ilustracje (w roku ubiegłym nagroda w konkursie Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek za „opakowanie", t.zn. okładki i obwoluty książek), to stworzy to w pełni znany klimat solidności i wysokiej kultury w pracy edytorskiej placówki, której można tylko życzyć takich ilości papieru i mocy poligraficznych, aby jak najszybciej przestał gnębić ją ów bolesny dylemat, który jakże często każe dokonywać wyboru między Prusem i Trylogią a nowymi tytułami książek, wzbogacających rynek kulturalny.

JAN OKOPIEŃ

Z POLA WALKI

Wydawany przez Zakład Historii Polskiego Ruchu Robotniczego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR naukowy kwartalnik poświęcony dziejom ruchu robotniczego „Z Pola Walki", od kilku już lat zasłużył sobie na miano jednego z najciekawszych i najbogatszych w treść periodyków historycznych w naszym kraju. Redakcja skutecznie unikając wszelkiej łatwizny preferuje na łamach swojego pisma tematykę istotnie ważną, często kontrowersyjną, unikając spraw błahych, które nikomu wprawdzie nie sprawią kłopotów, ale i nikogo nie zainteresują, proponuje swym czytelnikom nowe materiały i oceny do których formułowania upoważnia rozwój badań nad przeszłością ruchu robotniczego, prowadzonych w licznych naukowych ośrodkach. Również i ostatni numer rocznika 1973 stanowi lekturę pasjonującą i naklaniającą do refleksji.

Problemem wiodącym numeru jest dwudziestopięciolecie Kongresu Zjednoczeniowego PPR i PPS, jednego z najważniejszych wydarzeń w najnowszych dziejach Polski, realizacji historycznej konieczności jedności ruchu klasy robotniczej. Jemu to właśnie został poświęcony artykuł Franciszka Szlachcica „Leninizm podstawą żjednoczenia polskiego ruchu robotniczego" oraz obszerna, analityczna rozprawa Bronisława Syzdka „Zjednoczenie ruchu robotniczego w Polsce w 1948 r. Utworzenie PZPR".

„Srebrny jubileusz PZPR — pisze F. Szlachcic — daje wszystkim członkom partii prawo do satysfakcji z uczestnictwa w wielkim dziele budowy socjalizmu. My, starsze pokolenie komunistów, rewolucjonistów, którzy walczyliśmy o Polskę socjalistyczną, o zjednoczenie ruchu robotniczego, budowaliśmy Polskę, możemy być dumni z dokonanego dzieła. Dziś podejmuje je i kontynuuje nowe pokolenie, którego udziałem stanie się zbudowanie rozwiniętej socjalistycznej społeczności w naszym kraju".

Zjednoczenie PPR i PPS stanowiąc jedno z największej wagi wydarzeń w dziejach polskiego ruchu robotniczego likwidowało trwający od dziesiątków lat rozłam, który ograniczał skuteczność walki klasy robotniczej o socjalizm. Jednocześnie — jak podkreśla B. Syzdek — połączenie obu partii „zamykało również określony etap w rozwoju Polski Ludowej i otwierało nowy. W latach 1944—1948 dokonały się pod kierownictwem PPR, w ścisłej współpracy z PPS zasadnicze przeobrażenia społeczno-ustrojowe. Przeprowadzono wielkie reformy: nacjonalizację przemysłu, podział ziemi obszarniczej i reformę oświaty i wychowania. Zasiedlono i zagospodarowano Ziemie Zachodnie i zapoczątkowano proces odbudowy i uprzemysłowienia kraju. W ostrej walce z siłami opozycji i reakcji nastąpiło umocnienie władzy ludowej. Zjednoczona partia stanęła wobec nowych zadań budownictwa socjalistycznego".

Omawiany tu numer „Z Pola Walki" przynosi ważną polemikę miedzy Jerzym Targalskim a Norbertem Michtą, dotyczącą problemów politycznych i ideologicznych SDKPiL, w związku z kontrowersyjną, wydaną w 1971 r. książką Aleksandra Kochańskiego. Chodzi w niej o sprawę pierwszorzędnej wagi, mianowicie o ocenę roli Róży Luksemburg w polskim ruchu robotniczym, w szczególności zaś o stanowisko SDKPiL wobec kwestii narodowej w ogóle, zaś kwestii polskiej w szczególności, a więc o problemy, które niedawno starał się naświetlić N. Michta w przedmowie do wydanego w zeszłym roku wyboru pism Juliana Marchlewskiego. J. Targalski bynajmniej zresztą nie podziela tradycyjnych zapatrywań, chociaż w wielu sprawach nie godzi się ze stanowiskiem N. Michty i obszernie wywodzi, że „nieufność młodego proletariatu polskiego do mającego już swoją historię postulatu niepodległości tkwiła w nim samym", nie koniecznie zaś musiała być doń wnoszona z zewnątrz, nie miała też nic wspólnego z kosmopolityzmem. Dyskutant nie traktuje oczywiście sprawy jako zamkniętej i popiera sformułowany przez N. Michtę postulat „wnikliwszej analizy różnic w postawach, poglądach i działalności przywódców SDKPiL.

I wreszcie inny krąg problemowy: KPP a ruch chłopski, któremu redakcja poświęciła trzy obszerne rozprawy, napisane przez Henryka Cimka, Jana Borkowskiego i Wilhelminę Matuszewską, proponujące nie tylko nowe ustalenia, lecz także oceny, niekiedy kontrowersyjne. Prace te łącznie dają „dynamiczny obraz procesu przemian, jakie zachodziły w polityce KPP wobec ruchu chłopskiego. Konfrontacja stanowisk poszczególnych badaczy stanowić będzie — w naszym przekonaniu, podkreśla redakcja — dalszy krok ku pełnej naukowej ocenie tej trudnej problematyki". Z tematyką KPP-owską łączy się opublikowany w dziale „Materiały i dokumenty" materiałowy artykuł Michała Nosowicza o strukturze i składzie społeczno-zawodowym KPZB na Białostocczyźnie, w którym w wyniku skrupulatnej analizy źródeł podano po raz pierwszy informacje liczbowe dotyczące organizacji partyjnej.

Na tym jednak nie koniec. Wypadałoby zapewne zatrzymać się dłużej nad bardzo ważnymi listami J. Marchlewskiego do W. Reymonta, w związku ze staraniami o niemieckie wydanie „Chłopów". Na uwagę zasługuje również zwarty, ale nasycony informacjami artykuł Janiny Jaworskiej „Działalność wydawnicza SDKPiL w Łodzi w okresie rewolucji 1905—1907", stanowiący o ile mi wiadomo fragment większej pracy o dziejach łódzkich wydawnictw, która nie wiedzieć czemu nie może doczekać się publikacji. Nie pierwszy to wypadek, że dzieło, stanowiące wynik wieloletnich badań, zalega dotąd w autorskiej szufladzie: gdyby dotyczyło np. historii nie łódzkich wydawnictw, ale kabaretów, niechybnie miałoby do dziś z dwa wydania; gdyby dotyczyło nie Łodzi, ale Poznania, Torunia, nawet Białegostoku, wydawca znalazłby się już dawno. Nie ma się co łudzić, że Łódź będzie więcej znaczyła na mapie ośrodków humanistycznych w Polsce, jeżeli nie znajdzie się sposób na to aby co lepsze prace, dotyczące problematyki łódzkiej i regionu łódzkiego mogły się szybko ukazywać drukiem. Ciekawe, że w innych ośrodkach od dawna znaleziono już rozwiązanie tych spraw. Ale rzecz to przykra i dla wielu niewygodna, po co więc o niej mówić?

Wypadałoby kończyć niniejsze krótkie sprawozdanie, ale jak tu nie zatrzymać wzroku na innych cennych materiałach, które znalazły się w tym numerze „Z Pola Walki"? Na przykład na recenzji Stefana Pelczyńskiego z „Przyczynków do historii kwestii polskiej" K. Marksa; publikacji wyróżnionej doroczną nagrodą „Trybuny Ludu", przynoszącej polemikę z opiniami, wypowiedzianymi przez innych recenzentów tego dzieła? Trudno jednak folgować swym czytelniczym zainteresowaniom — ostatecznie krótkie sprawozdanie nie zastąpi lektury tomu, do której zachęcam.

LEKTOR

TAJEMNICA CZWARTEGO WYMIARU

Dalszy ciąg ze str. 1

Zacznę od hipnozy. Jej nazwa pochodzi od greckiego słowa hypnos i znaczy tyle, co sen. Hipnozę można więc określić jako — zbliżony do snu — przejściowy stan świadomości, zasugerowany przez hipnotyzera. Między nim a osobą hipnotyzowaną ustala się swoisty psychologiczny kontakt, zwany „raportem".

Na czym polega różnica między hipnozą, a zwykłym snem? Otóż w czasie normalnego snu człowiek zupełnie niepodatny jest na łagodne bodźce zewnętrzne (np. czyjąś obecność, niezbyt głośne dźwięki), natomiast osoba wprowadzona w stan głębokiej hipnozy — choć także nie nawiązuje kontaktu z otoczeniem — pozostaje pod wpływem hipnotyzera, słyszy jego głos, wykonuje jego polecenia, odpowiada na zadane przezeń pytania. „Raport" zanika, gdy zahipnotyzowany człowiek przez dłuższy czas pozostaje sam, a sztucznie wywołany sen ustępuje miejsca naturalnemu. Wówczas polecenia hipnotyzera nie zostają już wykonane.

Szereg badań nad zjawiskiem hipnozy przeprowadził I. Pawłow, który uważał hipnozę za rodzaj niepełnego, cząstkowego snu.

„Słowo hipnotyzera — pisał on — **przy określonym stopniu rozwijającego się hamowania w korze mózgowej osoby hipnotyzowanej (...) wyklucza jakiekolwiek współzawodniczące oddziaływanie wszystkich innych podniet aktualnych oraz śladów dawnych. Stąd pochodzi wielka, prawie nie odparta siła sugestii, jako bodźca w czasie trwania hipnozy i nawet po jej ustąpieniu".**

Niezwykle tajemniczym zjawiskiem, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu wywoływało tzw. epidemię psychiczną była telekineza, czyli poruszanie się przedmiotów pod wpływem rzekomych sił nadprzyrodzonych. **Leonid Wasiljew** opisuje następujące zdarzenie z roku 1848: **„Miasto Rochester (...) stało się kolebką spirytyzmu („wywoływania duchów") — mody, która szybko rozprzestrzeniła się w całej Ameryce, a następnie w Europie. Zapoczątkowało ją dziwne zjawisko. Gdy członkowie rodziny Foxów — ojciec, matka i trzy nieletnie córki — usiedli dookoła stołu i położyli na nim ręce, stół zaczął się poruszać (...). Rozeszła się wieść, że dusze zmarłych, zwane potocznie duchami, uzyskały wreszcie możliwość porozumiewania się z żywymi ludźmi dzięki nadprzyrodzonym zdolnościom córek Foxa. Uznano je więc za pośredniczki — media — między światem żywych i światem umarłych".**

Wkrótce okazało się jednak, że media rodzą się jak grzyby po deszczu, a seansów z drgającym stołem znacznie przybywa.

Wobec coraz szybciej rozpowszechniającej się wiary w siły tajemne stanowisko musieli zająć naukowcy, którzy stwierdzili istnienie czynności ideomotorycznych. Oddziaływanie ideomotoryczne polega na tym,, że procesowi myślenia o jakimkolwiek ruchu towarzyszą pozornie niewidoczne, faktyczne ruchy. Pobudzenie kory mózgowej, w której powstaje wyobrażenie o ruchu, automatycznie niejako zmusza do wykonywania go. Stopień intensywności oddziaływania ideomotorycznego jest inny u każdego człowieka, ale wszyscy są w nie „wyposażeni".

Istnieniem czynności ideomotorycznych tłumaczy się znane od dawna zjawisko — „odgadywanie myśli". Doświadczenia z nim związane wpłynęły w dużej mierze na zainteresowanie telepatią. Sądzono dawniej, że możliwe jest przekazywanie wyzwolonej z mózgu myśli innemu człowiekowi bez dostrzegalnego pośrednictwa. Powtarzane wielokrotnie badania naukowe z zakresu psychologii i fizjologii kategorycznie zaprzeczyły temu mniemaniu. Swoisty przełom dokonał się w 1876 roku dzięki odważnemu wystąpieniu angielskiego fizyka, W. Baretta. Zabrał on głos na temat bezpośredniego przekazywania myśli. W kilka lat później otwarto w Londynie (istniejące zresztą do dziś) Stowarzyszenie Badań Psychicznych, które podjęło szereg prac mających na celu skrupulatne odnotowywanie i studiowanie każdego potwierdzonego przypadku telepatii.

W tym czasie rosyjscy uczeni wysunęli hipotezę zakładającą możliwość istnienia sugestii myślowej, rozumianej jako „radio mózgowe". Idzie o to, iż w pewnych sprzyjających warunkach jeden mózg może być stacją nadawczą fal elektromagentycznych, drugi zaś — stacją odbiorczą. Owe sprzyjające warunki to odpowiednia moc pól elektromagnetycznych wywołanych przez bioprądy pracującego mózgu. Moc ta jest wszakże zbyt mała u większości osób, nic więc dziwnego, że niezwykłe zjawiska występują tak rzadko.

Niechaj te powierzchowne informacje o sugestii, hipnozie, telekinezie i telepatii zamkną słowa ojca cybernetyki, N. Wienera, które są najlepszym świadectwem wysiłku podejmowanego przez naukowców:

„psychologia — która była w zasadzie nauką fenomenologiczną — staje się coraz bardziej związana z neurofizjologią. Wiele zagadnień do tego czasu opierających się na paru skandalicznych założeniach, jak np. badanie bezpośredniej łączności na odległość między układami nerwowymi, zaczyna być przedmiotem realnej dziedziny badań naukowych, która nie będzie skażona nienaukowymi przypuszczeniami, że spotykamy się tu ze zjawiskami nie mającymi fizycznych korelatów".

GRAŻYNA KOMPEL

GEORGES SIMENON

WIĘZIENIE

7

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Zanim dotknęła poręczy krzesła, szepnęła:

— Przepraszam, że ci przysporzyłam tylu kłopotów.

Nie drgnął nawet, nie znalazł ani słowa i usiadł, dzielił ich od siebie jedynie adwokat, który trzymał się lekko z tyłu.

Sędzia, jakby wytrącony z równowagi słowami, które padły, przez dłuższą chwilę namyślał się, nim zaczął mówić.

— Czy mam rozumieć, że pani mąż nie ma nic wspólnego z tym, co zaszło na ulicy de l'Universite?

Rabut zaczął się kręcić na krześle, lękając się odpowiedzi.

— Nic nie mam do dodania poza tym, co powiedziałam.

— Kochała pani męża?

— Przypuszczam.

Nie patrzyła na niego i oczyma zdawała się szukać papierosa. Trzej mężczyźni wokół niej palili. Benitet zrozumiał i wyciągnął do niej paczkę.

— Czy pani była zazdrosna?

— Nie wiem.

— Czy pani zdaniem mąż utrzymywał intymne stosunki z pani siostrą?

Po raz pierwszy odwróciła się do Alaina, z dużą swobodą, i mruknęła:

— To on powinien wiedzieć lepiej ode mnie.

— Skierowałem to pytanie do pani.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Kiedy po raz pierwszy przyszła pani myśl zamordowania siostry?

— Nie wiem.

— Wczoraj rano? Przypominam, że zanim wyszła pani z mieszkania zabrała pani z szuflady męża broń, która tam się znajdowała.

— Tak.

— W jakim celu?

Powtórzyła:

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Zaczyna pani to samo, co dziś rano.

— Mam zamiar nie rezygnować z takiej postawy.

— Żeby oszczędzić kogo?

Ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

— Czy chodzi o pani męża?

Jeszcze raz te same słowa:

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Żałuje pani swego czynu?

— Nie wiem.

— Zrobiłaby pani to samo jeszcze raz?

— To zależy.

— Od czego?

— Nieważne.

— Zastanawiam się, mecenasie, czy nie powinien pan pouczyć swojej klientki.

— To będzie zależało od tego co mi powie, kiedy przeprowadzę z nią rozmowę w cztery oczy.

— Jutro będzie pan mógł z nią rozmawiać tak długo, jak pan zechce. Zdusił papierosa w reklamowej popielniczce.

— Panie Poitaud, pozwalam panu zadawać pańskiej żonie pytania, jakie uzna pan za stosowne.

Alain podniósł głowę, popatrzył na twarz, obróconą ku niemu. Czekała, po prostu, nie zdradzając żadnego wzruszenia.

— Proszę cię Kocurze...

Nie powiedział nic więcej. On również nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Chciał wypowiedzieć to słowo, niby zaklęcie, w nadziei, że wywoła małą iskierkę.

Upłynęły długie sekundy, a oni patrzyli na siebie, ona cierpliwie czekając, on szukając słów, których nie znajdował.

Przypominało to dziecinną grę, w której obaj partnerzy patrzą sobie w oczy, i czekają, które się pierwsze uśmiechnie.

Nie uśmiechnęło się ani jedno ani drugie. Nikt się nie śmiał. Alain ustąpił pierwszy i zwrócił się do sędziego.

— Nie. Nie mam pytań.

Wszyscy byli zakłopotani, z wyjątkiem Kocura. Sędzia, z żalem, nacisnął dzwonek elektryczny. Rozległo się dzwonienie za drzwiami, które się otworzyły.

— Proszę odprowadzić panią Poitaud do celi.

Była bowiem jeszcze panią, nim będzie aresztowana, by w końcu stać się oskarżoną.

Alain zauważył, że było szaro, że należało zapalić lampy. Posłyszał szczęk kajdanek, stukot wysokich obcasów, o podłogę, szczęk fleszy fotografów.

Kiedy drzwi się zamknęły. Rabut musiał chyba otworzyć usta, gdyż sędzia zapytał go:

— Chce pan coś powiedzieć, mecenasie?

— Nie. Zobaczę się z nią jutro.

Kiedy wyszli, dziennikarze już znikli i korytarz był prawie pusty.

ROZDZIAŁ IV

Stał sam, na słocie, przed kratami gmachu sądów, nie wiedząc dokąd iść. Nie chciał się sam przed sobą przyznać do rozterki, robił wysiłki, by uwierzyć, że z czasem, na trzeźwo, wziąwszy do ręki ołówek i papier, zdoła uporządkować myśli.

Miał do siebie żal za swój cynizm, od dzieciństwa, kiedy to miał już swój własny „gang", a kiedy oblał maturę udawał, że się tym chełpi.

— Tylko matoły dostają dyplomy!

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wszedł do baru.

— Whisky... Podwójna...

Stało się to dla niego przyzwyczajeniem, które przejęli też jego kumple. Większość piła mniej od niego, gdyż mniej łatwo znosili alkohol, albo też dlatego, że na drugi dzień chorowali.

To nie był bar z whisky. Na półce była tylko jedna jej butelka. Dokoła niego klienci, pili kawę albo białe wino.

— A jednak musisz sobie wybrać zawód, Alainie.

Ileż to razy powtarzała te słowa matka? Włóczył się po ulicach, po kawiarniach. Niekiedy był tak samo pełen obaw, jak i ona, ale poczytywał sobie za honor nigdy tego nie okazywać.

— Nigdy nie zgodzę się z tym, by prowadzić życie niewolnika.

Takie jak jego ojciec, który dwanaście do czternastu godzin dziennie dłubał przy chorych zębach.

Takie jak dziadek, ze strony ojca, który był wiejskim lekarzem do chwili, aż mając siedemdziesiąt jeden lat, zmarł na zawał serca przy kierownicy swojego auta.

Takie jak drugi jego dziadek, cukiernik, który przez całe swoje życie fabrykował cukierki i karmelki w niskim i przegrzanym pomieszczeniu podczas gdy jego żona krzątała się za kontuarem.

— Widzisz, mamo, są dwa rodzaje ludzi: tacy, którzy dostają w skórę i tacy, którzy innym dają w skórę. — I dorzucał z wyzwaniem. — Ja będę dawał w skórę innym.

Po sześciu miesiącach obijania bruków, wstąpił na ochotnika do wojska i trzy lata spędził w Afryce.

Musi pojechać na plac Clichy, nawiązać kontakt z matką i z ojcem. Jego ojciec nigdy mu się nie sprzeciwiał. Pozwalał mu robić wszystko, rozumiejąc zapewne, że wszelka interwencja uczyni z Alaina rebelianta.

Dlaczego Kocur prosił go o przebaczenie. Było to jedyne zdanie, z jakim zwróciła się do niego. Nie okazała żadnego wzruszenia.

O mało nie zamówił drugiego kieliszka. Było jednak zbyt wcześnie. Wyszedł z kafejki i skierował kroki w stronę wozu, zaparkowanego dość daleko.

Wcisnął się za kierownicę, puścił motor w ruch. Gdzie jechać? Znał wszystkich, setki ludzi nazywał „mały króliku". Był człowiekiem, który zarabiał masę pieniędzy. Zawsze wiedział, że nie będzie dostawał w skórę.

„Ty" wychodził w milionie egzemplarzy. Płyty cieszyły się sukcesem. Przygotowywał magazyn dla młodych, w wieku od dziesięciu do piętnastu lat.

Z kim w tym momencie mógłby porozmawiać, porozmawiać szczerze i serdecznie? Przede wszystkim zaś, czy w ogóle miał ochotę porozmawiać szczerze i serdecznie? Czy rzeczywiście miał ochotę wszystko zrozumieć?

Znalazł się na ulicy Marignan, czuł bowiem potrzebę być otoczony ludźmi, którzy od niego zależeli. To ich właśnie nazywał kumplami. Kocurowi też dał przydomek, to tak trochę jak na Dzikim Zachodzie, gdzie piętnuje się bydło rozżarzonym żelazem. Adriannie też.

Coś się załamało, nie wiedział dokładnie co i zaczynał się bać.

W holu przed jednym z okienek stała kolejka, głównie kobiety. Przychodziły w związku z konkursem. Zawsze potrzebny był jakiś konkurs, aby trzymać w napięciu czytelniczki, wtedy można było z nimi robić wszystko, co się chciało.

Na górę wszedł na piechotę. Tylko pierwsze piętro nie należało do niego i było zajęte przez firmę importowo-eksportową. Odkupił od niej kontrakt dzierżawny. Za sześć miesięcy będzie miał do dyspozycji cały gmach, który zamierzał przerobić.

Miał trzydzieści dwa lata.

Kto mu wspomniał o Nonnettes? Kto go zapytał czy czasami prowadził z Kocurem życie rodzinne?

Nigdy! W starej budowli, na pół farmie, na pół dworku, który sobie urządzili, podczas każdego weekendu panował jarmark i nie zawsze człowiek wstając wiedział, kto śpi w tym łóżku, albo na tamtej kanapie.

— Czołem, Borys.

Maleski obserwował go, jak gdyby chciał zobaczyć, do jakiego stopnia się trzyma.

— Telefonował twój szwagier. Prosił, żebyś do niego zadzwonił.

— Do domu?

— Nie. Do biura.

— To dostojny idiota.

Mówił już to Niecierpiał dostojnych osobistości. Idioci irytowali go.

— Połącz mnie, mój króliku, Banque de France. Dyrekcja główna, przy ulicy Vrilliere. Poprosisz pana Blanchet.

Gagnon, sekretarz redakcji, wszedł z papierami w ręku.

— Przeszkadzam?

— Ależ nie. Do mnie?

— Chciałbym pokazać Borysowi artykuł, który mnie trochę niepokoi.

W tym tygodniu Alaina to wszystko nie interesowało. Był czwartek, czwartek 19 października. Łatwo to było zapamiętać, gdyż wszystko zaczęło się w środę, osiemnastego. Wczoraj. O tej godzinie siedział za swoim biurkiem, na miejscu, które teraz zajmuje Borys, następnie wyjechał do drukarni, w alei Chatillon i w jego oczach nie było rzeczy ważniejszej, niż nowy numer „Ty", który właśnie miał się ukazać.

— Pan Blanchet przy telefonie.

Nacisnął guzik.

— Tu Alain.

— Dzwoniłem do ciebie, gdyż zastanawiam się, co zrobić. Ojciec Adrianny przyjechał do Paryża. Zatrzymał się w Hotelu Lutetia.

Jak każdy porządny intelektualista z prowincji, czy zza granicy!

— Chce nas obu zobaczyć.

— Dlaczego obu?

— Chodzi przecież o jego dwie córki, nie?

— Jedna nie żyje, druga w więzieniu!

— Na wszelki wypadek zaprosiłem go do siebie na kolację dziś wieczór, nie możemy przecież iść do restauracji. Powiedziałem, że potwierdzę jeszcze spotkanie, porozumiawszy się z tobą.

— O której godzinie?

— Koło godziny dwudziestej.

Zapadła cisza.

— Jutro rano sprowadzamy ciało Adrianny. Pogrzeb będzie mógł odbyć się w sobotę.

Nie pomyślał o pogrzebie.

— Zgoda na dziś wieczór.

— Widziałeś się z nią?

— Tak.

— Nic nie mówiła?

— Przepraszała mnie.

— Ciebie?

— Być może ciebie to dziwi, ale tak było.

— Co myśli o tym sędzia?

— Nie zwierzył mi się ze swojej opinii.

— A Rabut?

— Nie bardzo zadowolony.

— Podjął się obrony?

— Z chwilą, kiedy będzie o nim głośno...

— Do wieczora.

— Do wieczora.

Spojrzał na Borysa i Gagnona, którzy półgłosem dyskutowali nad artykułem, c mały włos nie wybrał sobie którejś z maszynistek czy telefonistek, z którymi już był w łóżku, żeby przespać się z nią byle gdzie.

Ludzie mają zacofane poglądy i dziewczyna mogłaby się zdobyć na odmowę.

— No, to do zobaczenia albo do jutra.

Była dopiero czwarta godzina. Wszedł do Clocheton.

— Podwójna?

Nie miał ochoty na picie. Było to odruchowe.

— No! tak, mój króliku.

— Widział się pan z nią?

Barman znał oczywiście Kocura. Wszyscy znali Kocura, tyle razy widywali ją parę centymetrów na prawo od jego łokcia.

— Nie była zbyt przybita?

— Jeszcze nie minęła godzina.

— Brak jej tylko kieliszka dobrej whisky.

Tamten nie wiedział, czy powinien się uśmiechnąć, czy nie. Alain uraził go? Tym gorzej! To było w jego zwyczaju — urażać ludzi, rozmyślnie. Albo raczej robił to rozmyślnie przez tyle lat, że stało się to u niego naturalne.

— Zdaje się, że przestaje padać.

— Nie zauważyłem, że pada.

Przez kwadrans siedział oparty łokciami o kontuar, potem raz jeszcze zasiadł za kierownicą i jechał w górę Pól Elizejskich, pod niebem, które istotnie przejaśniało się, zamieniając się ze szpetnie żółtego na czyrakowato żółte.

Pojechał aleją Wagram, bulwarem Courcelles. Nie skręcił na lewo, do domu, lecz zaparkował auto na górze bulwaru Batignolles

Właśnie zapaliły się reklamy świetlne. Znał plac Clichy we wszystkich jego odmianach, czarny od przechodniów, którzy zapadali się albo wyłaniali z paszczy metra, bądź też pusty o godzinie szóstej rano, zdany na pastwę zamiataczy i kloszardów. Znał go w słońcu, w śniegu, w deszczu, w zimie, w lecie, o każdej porze.

Znał go aż do obrzydzenia, patrzył nań bowiem z okna przez osiemnaście lat. Siedemnaście, gdyż w pierwszym roku był za mały, żeby sięgnąć parapetu i jeszcze nie chodził.

Wszedł w alejkę pomiędzy bistrem a sklepem z obuwiem. Tabliczka, nigdy nie zmieniana, ogłaszała:

Oscar Poitaud
Dentysta — chirurg
(II piętro na prawo)

Codziennie, wracając najpierw z przedszkola, potem ze szkoły podstawowej, wreszcie z liceum, napotykał na swojej drodze tę tabliczkę i nie miał jeszcze ośmiu lat, jak poprzysiągł sobie, że cokolwiek się stanie, nigdy nie będzie dentystą.

Nie miał zaufania do windy, która zacinała się raz albo dwa razy na tydzień i stawała z pasażerami między piętrami.

Wdrapał się na górę po starych schodach bez dywanu, minął antresolę, gdzie pracował pedicurzysta, następnie pierwsze piętro, na którym każdy pokój z osobna stanowił biuro innej firmy. Firmy nędzne, na pograniczu oszustwa.

Jak daleko sięgały jego wspomnienia, w kamienicy rezydował co najmniej jeden lichwiarz, chociaż nie zawsze ten sam, ani na tym samym piętrze.

Nie był wzruszony. Jego dzieciństwo nie wywołało w nim rozczulenia, przeciwnie! Nie cierpiał swego dzieciństwa, chciałby je wymazać, jak z tablicy szkolnej.

Nie miał pretensji do matki. Była dla niego niemal tak samo obca, jak ciotki, które niegdyś widywał raz na rok, w czasie wakacji, kiedy jeżdżono z wizytą do rodziny w Dijon.

Ze strony matki, byli to Parmeronowie, nazwisko ozdobione imieniem Juliusz, można było czytać nad cukiernią. Wszystkie ciotki były tego samego kalibru, małe i krępe, z poważnymi minami, z półuśmiechami nieco cukierkowatymi.

Wszedł do jadalni, służącej za salon. Prawdziwy salon był zarezerwowany dla czekających pacjentów. Poczuł odór, posłyszał terkot wiertarki w gabinecie ojca.

Matka chodziła w fartuszku, który zdejmowała pośpiesznie, kiedy szła otwierać drzwi. Pochylił się, by ucałować ją w oba policzki, była bowiem znacznie niższa od niego.

Nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy; wchodząc do jadalni zastawionej ciężkimi meblami, mruczała:

— Żebyś ty wiedział, jaka byłam zmartwiona!

O mały włos nie odpalił:

— A cóż dopiero mówić o mnie?!

To nie byłoby uprzejme.

— Dziś rano, jak ojciec zobaczył pierwszą stronę gazety, nie mógł dokończyć śniadania.

On był zamknięty w swoim gabinecie, z coraz to innym pacjentem, z każdym co najmniej przez kwadrans.

— Proszę wypłukać usta... Wypluć...

Kiedy był smarkaczem, przykładał niekiedy ucho do drzwi.

— Będzie bolało?

— Ależ nie! Jeżeli pan nie będzie o tym myślał, nie będzie bolało.

A więc? Wystarczy, jeżeli Alain nie będzie myślał.

— Jakże to się mogło stać, Alain? Osoba, która wydawała się taka łagodna?

— Nie wiem, mamo.

— Myślisz, że była zazdrosna?

— Nie wyglądało na to.

Wreszcie spojrzała na niego, lękliwie, jak gdyby obawiała się, że się zmienił.

— Nie wyglądasz na bardzo zmęczonego.

— Nie No wiesz, upłynął dopiero jeden dzień.

— Czy przyszli zawiadomić cię do redakcji?

— Do domu. Czekał na mnie inspektor. Zabrał mnie na Quai des Orfevres.

— Przecież tyś nic takiego nie zrobił nieprawdaż?

— Mimo to mieli do mnie cały szereg pytań.

Podeszła do kredensu i wyjęła rozpoczętą butelkę wina, wysoki kieliszek. To była tradycja. Kiedy tylko ktoś przychodził do niej z wizytą.

Dalszy ciąg nastąpi

ANTOLOGIA ZAMACHÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

Wymownym tego przykładem mogą być kroki jakie podjęto, aby zapewnić bezpieczeństwo führera podczas przemówienia jakie wygłosił w berlińskim pałacu sportowym 30 maja 1942 r. Hitler przyjechał do Berlina 29 maja pociągiem specjalnym ze swojej kwatery głównej „Wolfschanze" koło Kętrzyna. Pobyt w stolicy nie był planowany na długo. Już następnego dnia wieczorem miał bowiem wracać do Prus Wschodnich. 30 maja na krótko przed godziną dwunastą samochody führera i jego świty opuściły Kancelarię Rzeszy i ulicami Leipziger Strasse oraz Potsdammer Strasse udały się w kierunku pałacu sportowego, gdzie na wystąpienie Hitlera oczekiwało 10.000 podchorążych Wehrmachtu. Do zabezpieczenia trasy przejazdu führera przez miasto oraz budynku pałacu sportowego, berlińska centrala policji wyznaczyła ok. 450 funkcjonariuszy, spośród urzędników policji kryminalnej i Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Ich szczególna uwaga kierowała się na parki, ogrody, tereny budów, budynki nie zamieszkane, domy z balkonami wychodzącymi na trasę przejazdu, a także na stacje kolei S-Bahn i U-Bahn. Miano również zwracać uwagę na skrzynki pocztowe, automaty uliczne, hydranty, urządzenia przeciwpożarowe znajdujące się w tzw. „strefie niebezpiecznej".

Instrukcje przewidywały, między innymi, iż nie wolno dopuścić do tego, aby na krótko przed, bądź w czasie trwania przejazdu osobistości, której należało zapewnić odpowiednie bezpieczeństwo — w sąsiedztwie trasy znajdowały się gdziekolwiek, pozostawione bez opieki paczki, torby czy inne tego rodzaju przedmioty. Wszystkie samochody parkowane w pobliżu ulic, którymi wiodła trasa przejazdu, były starannie przeszukiwane. Instrukcje nakazywały także usunięcie ze strefy zabezpieczanej Żydów oraz innych „podejrzanych elementów". Poza tym nikt kto nie posiadał oficjalnego zezwolenia ministerstwa propagandy nie mógł fotografować orszaku rządowego.

Istotnym czynnikiem walnie przyczyniającym się do zwiększenia stopnia bezpieczeństwa było utrzymanie w ścisłej tajemnicy szczegółów imprez z udziałem osobistości rządowych. Nigdy nie podawano o nich publicznie żadnych informacji aż do chwili poprzedzającej ich rozpoczęcie. Miało to wyeliminować ryzyko związane z przeprowadzeniem planowanego sabotażu.

Podczas wspomnianej uroczystości w pałacu sportowym owe 10.000 podchorążych do końca nie wiedziało kto będzie do nich tego dnia przemawiał. Wszystkich uczestników imprezy obowiązywał ścisły zakaz korzystania z publicznych kabin telefonicznych, które znajdowały się na terenie pałacu, poza tym nikomu nie wolno było opuścić hali przed odjazdem führera. Już od 26 maja na terenie pałacu sportowego stale znajdowało się 16 funkcjonariuszy bezpieczeństwa, a nocą budynku strzegły patrole policji z psami. Wszelkie przedmioty i osoby, które się w nim znajdowały były wciąż kontrolowane. Podczas przygotowań do uroczystości robotnicy biorący w nich udział pracowali bez przerwy pod nadzorem policji. W piwnicach i na dachu pełnili służbę wartowniczą agenci ochrony. Materiały potrzebne do dekoracji były skrupulatnie sprawdzane. W dniu, w którym impreza miała się rozpocząć 80 urzędników służby bezpieczeństwa dokonało ostatecznego przeglądu całego budynku. Piętnastu agentów sprawdziło dach i podłogę budowli, a także otaczające ją okoliczne domy. W czasie trwania przemówienia zwracano uwagę na to, aby nikt nie opuszczał swojego miejsca, lub zbliżał się do schodów bądź innych rzędów. Szczególnie czujnie obserwowano schody wiodące ku trybunie, na której znajdowała się mównica. Piwnice pałacu były zamknięte a przy wszystkich wyjściach z nich stali wartownicy. W domach otaczających „Sportpalast" przez cały czas znajdowały się posterunki gestapo, których zadaniem było pilnować, aby nikt nie wychodził w tym okresie na balkon lub na dach. Okna mieszkań musiały pozostawać w tym czasie zamknięte. Mieszkańcy wszystkich domów graniczących z pałacem sportowym byli poddawani kontroli i nie wolno im było podczas trwania uroczystości przyjmować w mieszkaniu kogokolwiek obcego.

Na klatkach schodowych budynków narożnych zainstalowano posterunki policji, których zadaniem była dyskretna obserwacja mieszkańców. Wyjścia z przystanków kolei — podziemnej (U-Bahn) oraz szybkiej (S-Bahn) były zablokowane, materiały budowlane znajdujące się na terenie budowy na rogu Bülow — i Potsdammerstrasse zostały dokładnie przebadane, most poczdamski (Potsdammer Brücke) gruntownie skontrolowano, a patrol policji wodnej na motorówce miał go pod stałą obserwacją. Nie zapomniano oczywiście o sprawdzeniu urządzeń kanalizacyjnych, przewodów wodociągowych i instalacji gazowo-energetycznych. Całą trasę przejazdu Hitlera do pałacu sportowego podzielono na odcinki, na których znajdowały się posterunki przekazujące sobie telefonicznie informacje gdzie aktualnie znajduje się kolumna samochodów. Ponadto zmobilizowano „na wszelki wypadek" odpowiednie rezerwy SS i policji, gotowe w każdej chwili do akcji.

Widać więc wyraźnie, że ze względu na tego rodzaju środki bezpieczeństwa, wszelkie próby wykonania skutecznego zamachu na Hitlera były praktycznie niemożliwe. Nie należy się zatem zbytnio dziwić, że zdołano podjąć tylko kilka takich prób.

ANDRZEJ BLAJER

FOTOREPORTAŻ

PIOTR JASKOW

PCHLI TARG

SPISEK JERZEGO PUTRAMENTA

Sensacji nie będzie — wybitny pisarz nie brał w tym spisku żadnego udziału. Jak niegdyś wędrowne wątki, tropione przez literaturoznawców, tak teraz wędrowne tematy, czerpane z dziejów II Wojny Światowej, rozwijane na kartach dzieł naukowych i literackich, służące za kanwę dla obrazów kinowych i telewizyjnych, stają się przedmiotem naukowej obserwacji. Takim właśnie atrakcyjnym tematem, wędrującym przez piśmiennictwo oraz inne formy twórczości zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, są dzieje nieudanego zamachu na A. Hitlera z dnia 20 lipca 1944 r.

Obrósł on w ogromną różnojęzyczną i bardzo różną co do wartości literaturę, w której dotąd niemal nie było słychać głosów polskich. Zarówno nasi badacze czasów II Wojny Światowej, jak i pisarze, tak przecież chętnie powracający do nich w swych utworach jakoś stronili od tego problemu, zapewne ze względu na znaczne trudności w jego obiektywizacji. Stąd też przedsięwzięcie J. Putramenta, które zaowocowało w powieści dokumentalnej pt.: „20 lipca", jest niechybnie **aktem autorskiej odwagi**, wypływającym z uświadomienia sobie przez pisarza niedostatków naszego piśmiennictwa, jest aktem odwagi tym bardziej, że autor pokusił się o sformułowanie **własnych ocen**.

Nie czuję się powołany do oceny literackiej wartości dzieła, które przeczytałem z niesłabnącym zainteresowaniem, nie chciałbym się też wypowiadać o jego stronie fabularnej, wytykać, że coś było nie zupełnie tak, jak to przedstawił pisarz, że o czymś zapomniał itd., zdaję sobie bowiem sprawę z tego, jak innymi prawami rządzi się historia, w porównaniu z literaturą, nawet jeśli ta przybiera postać maksymalnie zobiektywizowanego opisu w powieści dokumentalnej.

Rzecz jednak w tym, że J. Putrament, najsłuszniej zresztą, nie ograniczył się tylko do **rekonstrukcji** zdarzeń, a jednocześnie zasugerował ich **własną ocenę**. Na okładce książki wydawca informuje czytelnika, że bierze on do ręki powieść dokumentalną o zamachu, zorganizowanym przez grupkę hitlerowskich oficerów i generałów przeciw A. Hitlerowi, **„którzy nie mogąc mu przebaczyć, że przegrywa wojnę i ściąga Niemcy w przepaść, pragnęli go w ostatniej chwili przed klęską usunąć i ratować jeszcze, co się da: czyli dogadać się z przeciwnikami na Zachodzie, ale kontynuować wojnę z całą bezwzględnością na Wschodzie"**. Informacja ta celnie oddaje sąd pisarza o politycznym charakterze spisku 20 lipca: potwierdzeniem może tu być wewnętrzny monolog bohatera, płk hr K. von Stauffenberga, w pierwszej części utworu. Ocena ta nas nie zaskakuje, bowiem z podobnymi spotykaliśmy się już wcale często, tym niemniej nie jest wcale bezdyskusyjna.

Więcej — **wymaga dyskusji**, a to wobec stwierdzonych w nauce faktów, które dzisiaj nie są kwestionowane, a nad którymi wybitny pisarz przeszedł do porządku. Otóż traktowanie ruchu 20 lipca jako niemal monolitu, jak to się dzieje na kartkach utworu J. Putramenta, jest czymś więcej, niż **nieporozumieniem**, bo prowadzi do zagubienia jego niezmiernie istotnych cech, które winny wpłynąć na nasz ogólny sąd historyczny. Wiadomo dziś, że wprawdzie nie wszyscy spośród przywódców spisku, na pewno zaś nie H. Giesevius, którego pamiętniki dostarczyły pisarzowi wiele informacji, z całą pewnością jednak sam hr Stauffenberg, który odgrywał w nim jakże istotną, ukazaną zresztą przez J. Putramenta rolę, snuł **plany porozumienia się z siłami antyhitlerowskiej demokratycznej opozycji** zarówno w Niemczech, jak poza ich granicami, że zamyślał nie tyle o kontynuowaniu wojny ze Związkiem Radzieckim, ale o zawarciu pokoju, co oczywiście nie mogło się spotkać z aprobatą tych spiskowców, którzy myśleli właśnie tak, jak to opowiada nasz pisarz. Te i inne jeszcze koncepcje polityczne Stauffenberga obudziły zainteresowanie, nie bez dozy niepokoju, ówczesnego kierownika amerykańskiej służby wywiadowczej w Szwajcarii, którym był jak wiadomo A. W. Dulles, a który — warto przypomnieć — pisał o tych sprawach w książce, ogłoszonej tuż po zakończeniu wojny. Istnieją dziś wcale interesujące, operujące bogatym materiałem faktycznym, marksistowskie opracowania spisku 20 lipca, w których dowodzi się, że **myśl porozumienia ze „Wschodem" nie była dla Stauffenberga jedynie wybiegiem taktycznym**, a wynikała z uświadomienia sobie konieczności nowego ułożenia stosunków Niemiec z ich wschodnimi sąsiadami w ogóle. Jeden z bliskich współpracowników hrabiego — pułkownika, żyjący dziś, występując podczas dyskusji na seminarium uniwersytetu w Hamburgu relacjonował o **„poważnym stosunku Stauffenberga do Wschodu"**, a potwierdzeniem słuszności tej tezy są świadectwa (które zostały zignorowane przez zachodnioniemieckiego autora monografii o Stauffenbergu B. Scheuriga (1964) o podejmowanych przezeń i ludzi z nim związanych **próbach nawiązania kontaktów z Komitetem Wolnych Niemiec**. Informacje w tej sprawie przynosi ogłoszona przed kilkunastu laty w Niemieckiej Republice Demokratycznej publikacja pt. „Zur Vorgeschichte der Verschworung des 20 Juli 1944", o tym zaś, że związki Stauffenberga z **niemieckimi komunistami datują się co najmniej 1943 r.** pisano nawet na łamach „Neues Deutschland" (21 lipca 1965 r.).

Cała ta sprawa ma dziś olbrzymią literaturę, w której mimo wszystkich różnic zapatrywań istnieją przecież ważne ustalenia faktów, z którymi nie wolno nam się nie liczyć. Spisek 20 lipca pod względem swego politycznego oblicza jest niezmiernie zróżnicowany, na pewno znaczny głos miały w nim koła myślące akurat tak, jak sądzi J. Putrament. Jest jednak obowiązkiem historyka **zaprotestować** przeciwko nie zauważaniu innych sił, tych które myślały nie o kontynuacji III Rzeszy w jej hitlerowskim kształcie, ale odczuwały potrzebę przemiany stosunków w Niemczech i Niemiec z innymi krajami nawet, jeżeli z koncepcji hr Stauffenberga nic nie wyszło. Historiografia radziecka i NRD-owska nie bezpodstawnie powiada o **„patriotycznej grupie"** wśród spiskowców 20 lipca, która — przytaczam tu słowa historyka z NRD H. Roggenbuck — **„pomimo całego zróżnicowania i sprzeczności swych poglądów politycznych, co do sposobów realizacji, zbliżała się do realistycznego punktu widzenia, co na przykład znalazło wyraz w sprawie zakończenia wojny, stosunków ze Związkiem Radzieckim, doprowadzenia do pokoju i dobrosąsiedzkich stosunków z wszystkimi innymi narodami oraz zreformowania wewnętrznego ustroju powojennych Niemiec"**. Grupa o której mowa pozostawała w **ostrej opozycji** w stosunku do tych kół, które myślały o ratowaniu III Rzeszy i jej imperialistycznej polityki, tych kręgów, które J. Putrament bezzasadnie — proszę wybaczyć to ostre słowo, ale przecież wybitny pisarz sam lubi ostre polemiki i sprawia się w nich znakomicie — bezzasadnie powtarzam, uznał za całość ludzi spisku 20 lipca.

Radziecki historyk N. S. Czerkasow, autor serii rozpraw poświęconych ideowo — politycznym nurtom współczesnej historiografii niemieckiej, dyskutując z poglądami historyka H. Dressa, który najsłuszniej pisał o reakcyjnym charakterze politycznych poglądów Goerdelera z całą mocą podkreślał, że taka ocena **„nie może zostać odniesiona do kręgu spiskowców jako całości. Nie zauważa ona między nimi istnienia patriotycznej grupy"**, tej właśnie, o której tu była mowa Radziecki historyk D. Mielnikow, autor bogato udokumentowanej, całościowej monografii pt.: „Spisek 20 lipca 1944 r. w Niemczech. Legenda i rzeczywistość", wydanej w Moskwie w 1962 r. właśnie ze względu na znaczenie koncepcji, rozwijanych przez grupę Stauffenberga, powiada wprost o postępowym charakterze spisku, chociaż jednocześnie zastrzega się, że nie wszystkich jego uczestników wolno nam ogarnąć taką oceną, podkreślając że jego przywódcy **„starali się wykroczyć poza kastowe uprzedzenia i stworzyć podstawę dla szerszej antyfaszystowskiej koalicji sił w kraju"**.

A więc ocena diametralnie przeciwstawna tej, którą sugeruje dziś J. Putrament. Zapoznanie się z którymkolwiek z sumiennych przeglądów literatury historycznej, dotyczącej spisku 20 lipca, pozwoliłoby czytelnikowi na coś więcej, niż skonstatowanie, że J. Putrament **rozminął się** formułując swój sąd z poglądami, wypowiadanymi przez licznych historyków nie tylko marksistowskich, chociaż **ich właśnie w szczególności**. Ukazałoby jednocześnie niezamierzone filiacje sądu pisarza z poglądami tych przedstawicieli nauki historycznej, których bynajmniej do postępowych nurtów zachodniego dziejopisarstwa zaliczyć niepodobna. W jaki sposób doszło do tego? Sądzę, że stało się to w sposób bardzo prosty. Pisarz myśląc o powieści dokumentalnej świadomie odtrącił dywagacje licznych historyków, w których tyle wszak jest sprzecznych poglądów. Sięgnął do źródła: pamiętników Giseviusa, pomagał sobie także książką P. Berbena. A jak się okazuje było to za mało. Wystarczało, aby napisać książkę fascynującą, **nie wystarczyło**, by dać czytelnikowi rzecz **zobiektywizowaną** o spisku 20 lipca. Kółko się zamyka: dążenie do dokumentalnej ścisłości prowadzi do nieudokumentowanego, niesłusznego sądu. Zabrakło **historycznego krytycyzmu u początku**: krytycznego odczytania pamiętnika. Wedle tych reguł metodycznych, które tak dawno sformułowała nauka historyczna. A zatem zabrakło bliższego obcowania z historią. Szkoda.

ANDRZEJ F. GRABSKI

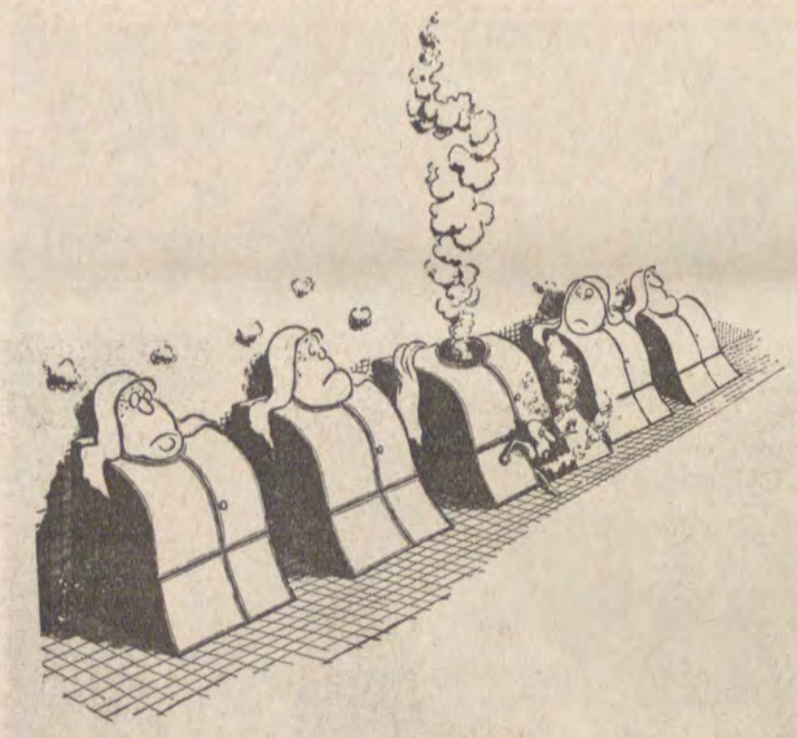

KOMPONENTY NA DOBRE SZCZEKANIE

Dalszy ciąg ze str. 1

zakład, który znają wszyscy. „Polfa", proszę pana...

Jednak wymienił zakład, o którym zamierzałem pisać. Rozmówcy nie wspominali go chyba z tej przyczyny, że jest aż nazbyt znany...

A więc Kutnowskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa". Białe, całe w szkle pudełka biurowców, białe bloki hal produkcyjnych, połączone szerokimi chodnikami. Co pewien czas ulicą Sienkiewicza przejeżdża zielona lokomotywka spalinowa. Z hal dobiega stłumiony szum maszyn, dzień i noc, bo praca trwa przez trzy zmiany...

1.

W małym pokoiku Komitetu Zakładowego PZPR, obok portretu Lenina, wisi duży portret „rodzinny", oprawiony w cienkie brązowe ramki. Jest wyblakły, gdyż nie najlepszej jakości było małoobrazkowe zdjęcie, z którego go wykonano.

Na portrecie około stuosobowa grupa ludzi w cienkich drelichowych ubraniach. Siedzą lub stoją, ich twarze są wychudzone, ale w oczach radość.

Jednym z tych ludzi jest **Wacław Skowron**, długoletni I sekretarz Komitetu Zakładowego, obecnie mistrz na oddziale produkcyjnym, ostatnio wyróżniony dyplomem przez sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR.

Ludzie z portretu to pierwsza grupa robotników, którzy wiosną 1945 roku uruchamiali „Polfę", więc Skowron może powiedzieć, jakie były początki. Jak wracali z obozów i z wojska, głodni, wychudzeni; z żywnością krucho, brak narzędzi, wypłat też nie było, ale oni montowali z uporem te stare maszyny w „grajdołku" przy ulicy Głogowieckiej.

W tym „grajdołku" już przed wojną były zaczątki zakładu farmaceutycznego. Ale żadna produkcja. Był tylko półprodukt. Konie ciągnęły beczki z „melasą" na przerób do Warszawy.

W 45 przy Gnieźnieńskiej uruchomiono pierwszą fazę produkcji morfiny, a wykańczano już tutaj, przy ulicy Sienkiewicza, gdzie były właściwe początki nowej „Polfy". Tutaj, na miejscu starego żydowskiego składu z węglem i drewnem, a później, w miarę rozbudowy, na terenie małych drewniaków, nad którymi kołowały gołębie, oraz ogródków i dzikich chaszczy, gdzie buszowały wymykające się z komórek króliki.

Pierwsze inwestycje sięgały 200 mln zł.

Gdyby tak zrobić skok przez niespełna trzydziestolecie, od 45 do 74, do dzisiejszej „Polfy", to:

Setka pionierów wzrosła do 1200 zatrudnionych.

Wartość rocznej produkcji — 700 mln zł.

Miliony złotych dewizowych za 30 proc. produkcji eksportowej.

Słyszę taką wypowiedź:

2.

— U nas myśli się również o psach.

— To „Polfa" ma też coś wspólnego z psami?

— Owszem, dzięki nam psy lepiej szczekają.

— Tego już nie rozumiem.

— A to zupełnie proste. Produkujemy specjalne tabletki witaminowo-mineralne dla psów. Dla koni także. „Hipovit". Po „Hipovicie" konie mają lepszą kondycję.

— Takie tabletki dla psów wpływają dodatnio na potencję — dodaje ktoś.

— No, dobrze, ale co z nami? — pyta inny, zawiedziony. Nie kazał mi tego notować, ale i tak zapamiętałem.

Trochę zajeżdża anegdotą, lecz wszystko się zgadza. „Polfa" wytwarza leki, jednakże produkcją dominującą są komponenty do mieszanek paszowych. Komponenty te odgrywają zasadniczą rolę w podnoszeniu wzrostu hodowli w kraju, gdyż powodują szybki przyrost wagi hodowanych zwierząt, przy nie zwiększonych dawkach paszowych.

Jak obliczają specjaliści, komponenty z „Polfy" dają przyrost hodowli wartości 6 miliardów zł rocznie.

W roku 1967 przy „Polfie" stworzono zakład doświadczalny, który zaczął swoją działalność od technologii mieszanek witaminowo-mineralnych, wypuszczając później na rynek całą gamę tych mieszanek, przeznaczonych dla bydła, trzody chlewnej i zwierząt futerkowych. Handel nie ma kłopotów z ich zbytem.

Kiedy człowiek ulega ciężkiemu wypadkowi (poważne uszkodzenia ciała, głębokie rany szarpane), aby utrzymać go przy życiu, konieczna jest transfuzja. Jednakże pompowana krew wycieka przez rany. Czy można temu zapobiec? Okazuje się, że tak. Właśnie „Polfa" specjalizuje się w produkcji dla krajów RWPG leku krwiozastępczego, zwanego protezą krwi. Lek ten znakomicie zastępuje ludzką krew, której transfuzję przeprowadza się dopiero po zszyciu ran.

Z „Polfy" na cały świat idzie morfina, produkowana z główek makowych. Zbyt zapewniony, byle tylko starczyło surowca...

3.

Zapytałem sekretarza KZ PZPR, **Edwarda Szymczaka**, czy ma coś wspólnego z alchemią. Odpowiedział, że nawet z chemią jest trochę na bakier, więc co tu mówić o alchemii. W wieczorowym technikum mechanicznym chemii uczył go wprawdzie obecny dyrektor „Polfy", **Mieczysław Wośko**, ale Szymczak niezbyt miłował ten przedmiot, toteż kiedy niedawno Wośko spytał go na jednym z oddziałów, jaka tam zachodzi reakcja — palnął głupstwo, po czym nastąpiło przypomnienie grzechów ze szkolnej ławy.

— Jako mechanik wiem jednak, że np. produkuje się u nas polfamixy ABZ. Kiedy podkarmi się nimi kury, nieśność wzrasta do 30 proc. Tylko proszę nie pytać, co by było, gdyby pan jadł codziennie te polfamixy...

Żarty na bok. Sekretarz mówi o ludziach.

— Mamy zgraną, ofiarną i kulturalną załogę. Proszę bardzo: za drugie półrocze 64 r. sztandar przechodni ministra przemysłu chemicznego i ZG Związku Zawodowego Chemików.

Za 1967 r. — trofeum najcenniejsze: sztandar przechodni Prezesa Rady Ministrów i CRZZ.

Rok 1972 — znowu branżowe wyróżnienie: sztandar przechodni ministra i ZG Zw. Zaw. Chemików.

Wreszcie zaszczytne wyróżnienie za pracę w latach 1971—1972 — dyplom od tow. Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza.

Powiedziałem, że załoga jest ofiarna. Tak, mamy ludzi wyrozumiałych, z inicjatywą, którzy przez wiele lat wspólnej pracy stworzyli odpowiedni klimat w zakładzie. Świadczą o tym wyniki osiągane w ramach akcji 20-tu i 30-tu miliardów, czyny społeczne. Dla uczczenia XXX-lecia zetemesowcy z liczącej dwustu członków organizacji zakładowej w ubiegłą niedzielę pracowali dodatkowo.

Wyróżniający się pracownicy? Proszę bardzo! Inż. **Maciej Gauze** otrzymał dyplom od tow. Gierka. Gauze jest współtwórcą technologii nizyny, preparatu konserwującego środki żywnościowe. Zresztą cała grupa pracująca nad tym patentem wpisała się do księgi osiągnięć w Belwederze. Zyskali uznanie u najwyższych władz, nizynę wykupiła na pniu zagranica, a nasz przemysł spożywczy jej nie zna i nie chce. I nadal konserwy, warzywa, owoce konserwuje tradycyjnie, jakby nie wiedział, że wszystkie przetwory z dodatkiem nizyny o wiele dłużej zachowują świeżość, znakomity zapach i smak.

Ale do rzeczy. Dyplomy od I sekretarza KP PZPR otrzymali: inż **Jerzy Meller**, kierownik zakładu doświad-

HENRYK POLAK

KRZYSZTOF TUROWSKI

A MOŻE BYŚMY TAK, NAJMILSI...

Fot. A. Wach

Właściwie o czym tu pisać? Uroczyste przecięcie wstęgi już było i to z udziałem najwyższych władz, do kranów popłynęła woda, po zbiorniku sulejowskim pływają teraz dzikie kaczki, a lada dzień zjawią się żaglówki i kajaki.

A my przez przekorę właśnie nad sulejowskim zbiornikiem szukamy tematu do reporterskiego zwiadu. I tu, przyznajmy się do jeszcze jednego. Zwykle tak się działo, że pisaliśmy reportaże dosłownie na pięć minut przed uroczystym przecięciem wstęgi. Łatwo wtedy pisać i mówić — na każdej budowie są to przecież najgorętsze dni, wymagające zwiększonego wysiłku i kryjące największy ładunek dramatyzmu. Tak było zresztą i na tej budowie.

Jeszcze dziś, kiedy usiądzie się z Januszem Tawłowiczem, nie sposób nie wspomnieć o ostatnich chwilach tuż przed przegrodzeniem koryta Pilicy. W filmowej wersji te ostatnie godziny mogłyby otrzymać tytuł „Cena strachu". Tawłowicz, mistrz budowy wcale zresztą nie ukrywa, że miał wtedy duszę na ramieniu.

„— Zamykaliśmy ostatnie okno w zaporze. Praca trwała już pełną dobę. Zmęczenie dawało się we znaki. Ale kulminacyjny moment miał nastąpić dopiero teraz. Pod zaporę przyciągnięto barkę, którą utrzymywały w odpowiedniej odległości od zapory dwie liny umocowane do ciężkich „Krazów" (są to samochody używane do przewozu ładunków na budowach).

Do obowiązków moich i kierującego barką należało założenie plastra na to właśnie ostatnie okno w zaporze. Wody było sporo. Pod samą zaporą kilkanaście metrów dzieliło nas od dna. No i w pewnym momencie prąd wody zrobił swoje — pękła jedna z lin utrzymujących barkę. Było to dosłownie w ostatnich sekundach zakładania plastra. Uratował mnie wtedy bokserski refleks. Muszę się przyznać — dodał szperając wśród szpargałów w szafce — że za pierwszy bokserski krok otrzymałem ten dyplom. Jak to nigdy nie wiadomo, kiedy się człowiekowi i co może w życiu przydać. Tym razem barka poszła na dno, a mnie i koledze udało się uratować."

Dla Tawłowicza wszystko to było proste. Rzeczywistość była jednak inna. Nawet kierownictwo budowy, które bez przerwy śledziło ich zmagania z wodą nie potrafi dokładnie powiedzieć w jaki sposób uratowali się. I dopiero po dłuższej rozmowie okazało się, że w pobliżu zapory na wszelki wypadek działał również holownik I na niego w ostatniej chwili udało się przeskoczyć marynarzowi z barki i Tawłowiczowi.

Tę opowieść usłyszeliśmy dopiero po kilku dniach pobytu nad sulejowskim jeziorem, kiedy udało się przełamać nieufność budowniczych wobec reporterskiego notesu. Bo ludzie z wielkich budów o swojej pracy, o trudnych i dramatycznych momentach mówią niechętnie Zwykle kwitowali to zdaniem: „Było ciężko, było trudno, ale zapora stoi, do Łodzi płynie woda i o czym tu mówić."

Jest w tym sporo prawdy. No, bo o czym tu mówić, kiedy rozmawia się z ludźmi, dla których opisywany przez reporterów dramatyzm budowy to profesjonalny, powszedni chleb. Nie przypadkowo utarło się też stwierdzenie, że budowlani z Turoszowa, Włocławka, Kozienic, Puław czy wreszcie Sulejowa — to mocni ludzie. Niewątpliwie są to mocni w zmaganiach z przyrodą ludzie, ale... kiedy się ich bliżej pozna, kiedy uda się ich wyciągnąć na nocne Polaków rozmowy, wtedy opada zawodowa rutyna i wyłaniają się niemal dziewiętnastowieczni romantycy. Mało kto da wiarę, że jeden z wieczorów w robotniczym hotelu spędziliśmy przy gitarze i recytacji wierszy — wierszy napisanych przez Tawłowicza, kierownika Buraczewskiego i innych. A miały to być rozmowy o budowie, o wylewaniu tysięcy metrów sześciennych betonu, o wbijaniu pali w dno rzeki, o karczowaniu lasu... A propos. Rozmowa z nadleśniczym Bogdanem Ryczkiem też miała spory ładunek romantyzmu. Jeszcze dziś niezupełnie pogodził się z tym, że pod wodą znalazły się kawałki dawnej nadpilicznej puszczy z matecznikami zwierząt, gdzie godzinami można było podglądać życie lasu.

Kiedy dzisiaj przychodzę w pobliże miejsca zalanego wodą, widzę pod nią przemykające daniele, jelenie, lisy. Przecież to były obszary jakby żywcem wyjęte z „Pana Tadeusza". I znów zaczęła się recytacja, tym razem słów wieszcza.

Nie przerywaliśmy. Inaczej odbiera się te same słowa, które wkuwało się na szkolnej ławie, tutaj, na skraju lasu. Nie przerywaliśmy, bo i nam udzielił się ten nastrój.

Na ziemię sprowadził nas przytłumiony odległością dźwięk piły. To chłopcy zdają egzamin na „pilarza" — wyjaśnił Ryczek.

„— Bo widzicie, my leśnicy chcemy, aby las był ciągle żywy. To była jednak konieczność, że przeszło tysiąc hektarów poszło pod piłę. Częściowo odrobiliśmy te straty sadząc nad zbiornikiem wodnym nowe hektary lasu. Będziemy sadzić i w tym roku.

Zresztą ten rok będzie dla nas wyjątkowo pracowity. Musimy przygotować miejsca pod campingi, pod przyszłą zabudowę ośrodka rekreacyjnego. Bo cały ten teren przeznaczony ma być właśnie dla was, łodzian.

„Dla was, łodzian". Usłyszeliśmy to raz jeszcze w Smardzewicach, w jednej z wsi położonych nad obecnym sulejowskim zalewem.

— Dla was, łodzian, chcieliśmy wybudować nową restaurację, nowe sklepy, przygotować wiejski ośrodek kultury. Ale nici z tych planów — dodał z nutką goryczy. Planowanie na terenach nad zbiornikiem jest poza nami. Ma się tym zająć centralnie Pełnomocnik Rządu d/s Inwestycji. Ale zanim cokolwiek powstanie, my chcemy przygotować pierwsze kwatery, rozwinąć hodowlę, bo to i świeże mleko, jajka, drób. A cudów nie ma. Łodzianie zjadą już w tym roku nie czekając, aż spełni się wizja przyszłego ośrodka rekreacyjnego.

A tymczasem, na terenach, gdzie w przyszłości mają stanąć hotele i domy wczasowe, bary i wypożyczalnie kajaków, pracują obecnie buldożery.

Inwestycja była przekazywana do użytku w środku zimy, w grudniu — mówi oprowadzający nas po budowie inż. Henryk Buraczewski. — Nie mogliśmy przewidzieć, że aura będzie nam sprzyjała. Dlatego też pełne wykończenie wszystkich prac przewidziane było na wiosnę. Ale już teraz pod Sulejowem podwyższamy i umacniamy wały ochronne, tu nad samą zaporą za kilka dni wyrównamy spychaczami brzegi zbiornika, przystępujemy też do likwidacji betoniarni i ciepłowni.

Serce mi się kraje, kiedy pomyślę, że całe podpiwniczenie betoniarni i kanały musimy wysadzić w powietrze. Przecież to idealne miejsce choćby na hodowlę pieczarek. A może zanim założymy ładunki, ktoś też o tym pomyśli...

Poza tym uważam, że likwidacja betoniarni jest technicznym nonsensem. Mają być budowane hotele, a więc inny wykonawca znów będzie urządzał betoniarnię. Podwójna robota i podwójne koszty.

Z jednego cieszę się ogromnie. Początkowo planowano, że na zaporze nie będzie elektrowni. Została jednak zbudowana. Już dziś do państwowej sieci lecą stąd dwa megawaty. Dalsze dwa popłyną w momencie, kiedy lustro wody w zbiorniku osiągnie przewidzianą wysokość. Wyliczyłem sobie kiedyś, że sama energia elektryczna spłaci tę inwestycję za 60—70 lat. Nas już jednak wtedy nie będzie. Pozostanie za to, oprócz zapory i elektrowni, hotel, w którym mieszkacie. Każde mieszkanie posiada oddzielny balkon, na dole jest stołówka i znakomicie wyposażona kuchnia, na piętrze świetlica i pokój bridżowy, w każdym z pokoi zimna i ciepła woda, do tego specjalne pomieszczenia na prysznice... może spotkamy się tu jeszcze kiedyś spędzając z rodziną wczasy.

Za parę tygodni zwalniamy te pomieszczenia. Pójdziemy na inną budowę. Tak prywatnie powiem, że marzy nam się kolejna ogromna inwestycja — Bełchatowski Okręg Węglowo-Energetyczny. Oby tylko decyzje zapadły jak najszybciej. Jeszcze mamy na budowie dobrych fachowców, jeszcze znajduje się tu sprzęt, całe laboratorium, wszystko to można by szybko przenieść o kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Jeśli jednak decyzje zapadną o parę tygodni za późno, nie utrzymamy fachowców i dla Bełchatowa trzeba ich będzie znów szukać po całym kraju.

To samo mówili również pozostali jeszcze na budowie inżynierowie, technicy, majstrowie. Nawet kobiety, których na tej budowie było wyjątkowo dużo, gotowe są odłożyć na kilka lat swe rodzinne plany i jeszcze raz spróbować inwestycyjnego chleba.

Niełatwy to chleb, pytaliśmy więc, skąd ta jednomyślność. Odpowiedź była prosta. Ludzie zżyli się ze sobą, niektórzy tak bardzo, że poświadczyli to w urzędach stanu cywilnego. Wiedzą, kiedy i na kogo można liczyć. Przez te trzy lata zjedli razem więcej aniżeli przysłowiową beczkę soli. I jeżeli mamy tak zwanego reporterskiego nosa, to już dziś możemy być przekonani, że za kilka, lub kilkanaście miesięcy będziemy znów pisać o Tawłowiczu, Buraczewskim i innych.

Na razie jednak namawiamy parafrazując Tuwima:

„a może byście tak, najmilsi, wpadli na dzień do Sulejowa"...

---

czalnego, pod którego ręką opracowano technologię nizyny, **Zdzisław Dzikowski**, mistrz w warsztacie mechanicznym, **Wacław Skowron**, **Józef Wiśniewski** z wydziału mechanicznego.

Swojej osoby Szymczak przez skromność nie wymienił...

4.

Pogoda była podła, więc czwarty kwartał ub. roku dał się zakładowi we znaki. Na składach województwa oblodzone okopowe, transport dyszy, gdyż trzeba rozwozić buraki do cukrowni, śpieszyć z przewozem ziemniaków i innych ziemiopłodów.

W „Polfie" tragedia. Bo „Polfa" zaopatruje apteki województwa, punkty apteczne, geesy. Cała masa towarowa musi być wysłana taborem samochodowym. A samochodów brak. Kierowców też brak. Kierowcy mieli pensje trochę wyższe od sprzątaczek. Nikt zresztą nie znał jeszcze przedstawionej przez Premiera podwyżki płac.

Dla zakładu, dla pracowników najważniejsze jest wykonanie planu sprzedaży.

Rozdzwoniły się telefony, wszyscy jeździli, biegali, błagali o pomoc. Kolejarzy, PKS, pegeery. Najwięcej pomogło, udostępniając samochody, przedsiębiorstwo ogrodnicze z Łęczycy.

Niedziele i święta, noce pod magazynami. Niejeden, od pracownika szeregowego, nawet z wydziałów produkcyjnych, alkaloidów czy glikozydy, po dyrektora, miał poważne zaległości ze snem. Jak się później okazało, plan roczny nie tylko wykonano, ale przekroczono o 45 mln zł...

Ledwie odetchnąłem, zasypany danymi liczbowymi, przykładami ofiarności, sukcesami itp. A kiedy już odetchnąłem, powiedziałem:

— Wszystkie osiągnięcia zawdzięczacie ludziom. Ale produkcja to jedna sprawa. A życie tych ludzi? Czy i tu wszystko układa się tak idealnie?

Nie, nie ma rozrabiactwa i pieniactwa. Ale trafiają się, zwłaszcza wśród nowo przyjętych, obiboki i cwaniacy. Takim brygada stawia warunek: albo weźmiesz się do roboty, albo się pożegnamy. My za ciebie nie będziemy pracować.

Do Komitetu Zakładowego przychodzą ludzie z różnymi sprawami. Od czysto prywatnych zgrzytów rodzinnych po sprawy wynikające z uprawnień pracowniczych: premia, pominięcie w wyróżnieniu itp.

Wiele spraw udaje się załatwić od ręki. Problem mieszkaniowy gnębi wszystkich. Z Warszawy przyjeżdża młoda dziewczyna z półrocznym dzieckiem. Musi zmienić środowisko, gdyż rodzice, zamiast pomóc w trudnym momencie, wyrzekli się dziewczyny. Pragnie pracować, lecz nie ma gdzie mieszkać. Znalazło się mieszkanie. Bo jakże nie pomóc? Choćby za to, że odważyła się urodzić i pragnęła pracować...

Albo sprawa żyjącego już w separacji małżeństwa. Tata nie dawał pieniędzy nie pracującej, zajmującej się dziećmi matce, bo tata miał przyjaciółkę, która bardzo lubiła pieniądze.

W Komitecie odbyła się odprawa rodzinna, sekretarz wysłuchał płaczu, wzajemnych oskarżeń, po czym zadzwonił do portiera, aby wypuścił małżonka do miasta. Wykonując polecenie sekretarza małżonek poszedł, wrócił z kwiatami i dotąd żyją z żoną w wielkiej zgodzie. Tak jak w bajce, a przecież z życia wyjęte...

5.

Nawet laik orientuje się, że praca w chemii nie należy do najlżejszych. Ale ludzie przychodzą do „Polfy". Kim są ci ludzie? Dlaczego przychodzą?

„Polfa" ma załogę kształcącą się. Aktualnie na wydziałach: chemicznym, mechanicznym, czy elektrycznym studiuje 12 osób. W technikach chemicznych Łodzi i Warszawy uczy się 30 pracowników. Stwarza się im odpowiednie warunki, przesuwa zmiany, aby nie odrywali się od szkoły.

Istnieje wprawdzie selekcja, ale zakład nie stwarza przeszkód, jeśli pracownik pragnie np. studiować prawo. Jeśli odejdzie, będzie pracował gdzie indziej, ale przecież dla tego samego kraju.

Mimo takiej tolerancji, na 1200 zatrudnionych — 130 osób, a więc co dziesiąty pracownik legitymuje się wyższym wykształceniem, 300 osób posiada wykształcenie średnie.

Kutno leży w centrum Polski. Blisko do Warszawy (szybkie i dogodne połączenie), do Łodzi 60 km. Nie posiada jednak wyższych uczelni, przeto część załogi z wyższym wykształceniem ściągnęła tu z Łodzi, Warszawy, Lublina, Szczecina, Poznania. Decyduje nie tylko położenie, ale fakt, że każde małżeństwo lub osoba samotna szybko i na dogodnych warunkach otrzymuje mieszkanie.

Średnie uposażenie w „Polfie" wynosi 3 tys. zł.

Około 30 proc. zatrudnionych stanowią ludzie dojeżdżający z Mnicha, Głogowca, Grabkowa, Sójki i innych miejscowości. Nie ma kłopotów z dojazdami, gdyż powiat posiada najbardziej gęstą, dobrze zorganizowaną sieć komunikacyjną w województwie. Są kłopoty, jak wszędzie zresztą, gdy przychodzi nasilenie prac polowych...

Zakład dysponuje pięknym ośrodkiem wypoczynkowym w Łącku, willą (15 miejsc) w Zakopanem, niebawem przystąpi się do budowy ośrodka w Ustce. Ze stołówki, gdzie obiad kosztuje 10 zł, stale korzysta 300 osób.

W ubiegłym roku cała załoga dostała „wymówienie" i przeszła na korzystniejszy system płac. Ci, co mieli odejść, odeszli do konkurencji, znaczy do nowej odlewni na Sklęczkach, która zaczyna podbierać pracowników.

Tylko że na tych samych Sklęczkach, tuż za miastem, już w kwietniu ruszy budowa nowoczesnego, w pełni zmechanizowanego i zautomatyzowanego wydziału premixów, najtrudniejszego dotąd wydziału produkcyjnego „Polfy". Za trzy lata rozbudowany zakład da roczną produkcję wartości około 1,5 mld zł.

Dotychczas „Polfa" była złotym jabłkiem dla Kutna. Partycypacja w skanalizowaniu miasta, nowa nawierzchnia ulicy Rychterskiego, oświetlenie ulicy Sienkiewicza, most na rzece Ochni, obwałowania, ponad 3 mln zł przekazane na budowę Domu Kultury.

Najbrzydszym i bardzo wstydliwym prezentem jest zatrucie rzeki, ale „Polfa" nie była jedynym trucicielem. Zresztą zbuduje się wkrótce oczyszczalnię, do Ochni wrócą ryby, a na brzegi wędkarze i pary zakochanych.

Mnie osobiście ucieszyła jednak inna wiadomość. Otóż w „Polfie" produkuje się specjalny preparat dla zwierząt futerkowych. Przy odpowiednim dawkowaniu, na lisach, nutriach, tchórzofretkach i innych takich rośnie futro jak na niedźwiedziach syberyjskich. Jako człowiek zakompleksiony pomyślałem zaraz o moim owłosieniu. Powiedziano mi, że, niestety, na razie nic z tego, ale w chemii wszystko jest możliwe...

RYSZARD BINKOWSKI

KOBIETY W DZIENNIKACH LWA TOŁSTOJA

Dokończenie

Pod wpływem małżeńskiego kryzysu sformułuje tezę: „Przyjemności, cierpienia — są oddechem życia: wdech i wydech, strawa i jej wydalanie. Upatrywać swój cel w rozkoszy i unikać cierpień — to znaczy zgubić drogę, która je przecina".

W r. 1889 kryzys w pożyciu z żoną nabiera nieoczekiwanej mocy. Przyczyną nieporozumień jest zaprojektowane przez Zofię Tołstojową czwarte wydanie dzieł męża, na co pisarz nie chce się zgodzić. Kolejne wstrząsy w ich życiu wywołuje praca nad „Sonatą Kreutzerowską", która zdaniem Soni, wymierzona jest przeciwko niej. Jest zazdrosna o notatki Tołstoja w „Dziennikach", domaga się od męża, aby usunął z nich wszystkie nieprzychylne sądy o niej. Nieustanne sceny źle wpływają na samopoczucie pisarza. Uświadamia sobie przepaść duchową pomiędzy nim a żoną, a jednocześnie pragnie jej jako kobiety.

„Jeszcze żyję, ale jestem do niczego, do niczego, aż podły. Znów wpadam w złość, znów pożądam". A gdy unika Soni miewa lubieżne sny. Czuje się zagubiony, słaby, gdy stwierdza: „Ludzie żyją albo ponad sumieniem, albo poniżej sumienia. Pierwsze jest męczące dla siebie, drugie wstrętne".

Wybiera tę pierwszą drogę, stara się żyć nieco powyżej własnego sumienia, aby doskonalić się w męce. Jedynym wytchnieniem w chwilach rozterek jest praca fizyczna. Sam szyje sobie buty, chodzi na chłopskie łąki kosić trawę, ogranicza własne potrzeby do ascezy. Ma za złe żonie i dzieciom, że nie dążą do prostoty, że żyją po pańsku. Wzbudza w nim gniew fakt, że Sonia usiłuje usprawiedliwić jego postępowanie przed carem w związku z ukazaniem się za granicą książek Tołstoja, zakazanych w Rosji. Ale ten gniew nie jest jednocześnie godny chrześcijanina, toteż starzec dąży do pogodzenia z żoną. W 1895 umiera na szkarlatynę najmłodszy, siedmioletni syn Tołstoja, Wania. Jego śmierć jest dla myśliciela objawieniem Boga, do którego daremnie starał się zbliżyć. Innym wzrokiem spogląda teraz na żonę. „Ból rozłąki od razu oczyścił ją od wszystkiego, co zaciemniało jej duszę. Jak gdyby się rozsunęły drzwi; obnażyła się ta boska istota miłości, która stanowi duszę". Kiedy jesienią tego roku otrzyma pogodny list od żony, będzie się łudził raz jeszcze: „Czy naprawdę dokona się z u p e ł n e zjednanie duchowe?"

Ale wypadki potoczyły się inaczej. W następnym roku Sonia poprosi męża, aby ofiarował jej prawa do swoich dzieł. Ta sprawa stanie się osnową coraz to nowych, coraz dotkliwszych zadrażnień. Wzajemnie przyznają się do winy, ale niczego to nie jest w stanie zmienić. W 1910 roku, kiedy nie ufając żonie zaczyna prowadzić „Tajny dziennik", tak podsumowuje 48 lat swego małżeństwa z Sonią:

„Potrzebne jej tylko jedno: żeby ludzie myśleli, ż e j ą k o c h a m. I to jest właśnie okropne".

Toteż, kiedy przyłapie żonę na poszukiwaniu sporządzonego przez siebie testamentu, w którym pozbawił Sonię prawa do swych dzieł, decyduje się na ucieczkę z domu. 28.X.1910 już z drogi napisze list:

„Mój odjazd zmartwi cię. Boleję nad tym, ale zrozum i wierz, że nie mogłem inaczej postąpić. Moja sytuacja w domu staje się i stała się nie do zniesienia. Pomijając wszystko inne nie mogę dalej żyć w warunkach zbytku, a których żyłem, i czynię to, co zwykle czynią starcy w moim wieku: odchodzę z życia światowego, by przeżyć w samotności i ciszy ostatnie dni swego życia. Proszę cię, zrozum i nie jedź do mnie, jeżeli się dowiesz, gdzie jestem. Taki przyjazd twój tylko pogorszy moje i twoje położenie, lecz nie zmieni mego postanowienia. Dziękuję ci za twoje 48-letnie uczciwe życie ze mną, proszę byś mi przebaczyła wszystko, czym zawiniłem przed tobą, tak jak ja ci przebaczam wszystko, w czym mogłaś zawinić wobec mnie".

31.X.1910 Tołstoj wraz z popierającą go córką Aleksandrą i towarzyszącym im lekarzem znaleźli się na stacji w Astapowie, gdzie pisarz rozchorował się śmiertelnie. Napisał wtedy do żony:

„Nie myśl, że odjechałem dlatego, że ciebie nie kocham, kocham ciebie, lituję się nad tobą z całej duszy, ale nie mogę postąpić inaczej".

3 listopada, leżąc już w gorączce, zanotował w „Dziennikach" ostatnie zdanie: „A wszystko dla dobra innych, a przede wszystkim dla mojego".

Zmarł 7 listopada nad ranem. Gdy leżał nieprzytomny dzieci dopuściły do niego żonę, która klęknąwszy prosiła męża o przebaczenie. Już tego nie słyszał. Chce się wierzyć, że na zawsze aktualne są słowa, które napisał o Soni w 1895 r.: „Ona — już widzę, jak — była żoną, która mi była potrzebna. Była idealną żoną w sensie pogańskim — wierności rodzinności, samozaparcia, miłości rodzinnej, pogańskiej; tkwi w niej potencjalnie chrześcijański przyjaciel".

Bez Soni Tołstoj nie odnalazłby chyba swego Boga.

Lew Tołstoj: „Dzienniki", Tom I (1847—1894), Tom II (1895—1910). Przekład Maria Leśniewska; opracowanie naukowe wersji polskiej i przypisów Wiktor Jakubowski. Wydawnictwo Literackie 1973, str. 525+433, cena zł 170.—

KONRAD FREJDLICH

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ZAMEK W OPOROWIE

Kto kocha, widzieć chce i cień postaci
— Wieczny Człowiek

Widziałem piękny w Oporowie gotyk
Z pół przerzuconym przez bark nieba płaszczem
A przepasany pasem jasnozłotym
W pasma pochodni i wzorzyste haszcze.

Mury gwiazd ostre poraniły groty,
Chociaż w słowiki zbrojne i lwie paszcze...
I sen się przyśnił: mury i wiek złoty...
I opisuję, a mur i wiek klaszcze.

Sny widzą wierszem to, co wzrok zachwyca.
Zachwyt i opis w snach są jak krzyk z echem.
Jawa inaczej wiersz pod oklask składa:

Nie z widzianego sercem, lecz z księżyca
Mody... Więc śpijmy, by dożył pociechy
Kopiując cienie — Wieczny Człowiek Adam.
26.V.73

SIURPRYZA PRZED ZAMKIEM W OPOROWIE

Czy to pobożny Stanisław cud sprawił?
Czy ów sulimczyk, biskup Oporowski?
Czy, aby zamkiem błysnąć z perzów wioski,
Wydział Kultury zgrzebny pas zastawił?

A błysnął pięknie, rotą barw zabawił
I pochodniami rytując krużganki
Wiódł nas za trąbką menuetem pawim
Ku Róży Dziejów i Brwiom kasztelanki.

Zaś gospodarze dla większej siurpryzy
Spięli nad fosą wąski kład czerwony,
By przejść udanie ku dziejom udanym

By przejść udanie — nie dość nie być wlanym
I chód rozwiany udanie wziąć w ryzy .
Trzeba wszak minąć dla większej siurpryzy
I spaść udanie kość w kość w czas miniony.
26.V.73

O POEZJI TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO

☆

Tadeusz Chróścielewski opatrzył swój retrospektywny wybór poezji tytułem mimowolnie kojarzącym się bardziej z przykrą sytuacją w życiu mężczyzny, aniżeli z poezją jako przeżyciem estetyczno-moralnym i aktem poznawczym. Całe w tym nieszczęście, że nikt dotychczas nie otrzymał karty powołania wypełnionej poezją. Chróścielewski takową stworzył; a otrzymać ją może każdy, kto pragnie odnaleźć swoją osobowość w historii i literaturze ojczystej i kto zamierza ją współtworzyć i cieszyć się nią. Tytuł „Karta powołania" oddaje w pełni treść zawartości zbioru i jest w istocie bardzo poetycki dzięki jedności w różnorodności. Różnorodności, bowiem poeta podejmuje wiele wątków problemowych i tematów, jedności, gdyż splatają się one w jedną całość światopoglądową, jedną propozycję artystyczną.

Nie bez powodu więc zrezygnował autor z chronologicznego układu, który z pewnością okazałby się decyzją nie najszczęśliwszą. Od wierszy powstałych w początku lat czterdziestych po poezje z lat ostatnich przewija się problematyka patriotyczna, brzmi wciąż podobna — aczkolwiek nie monotonna — nuta humoru i ironii, od lat te same upodobania i zainteresowania poety składane są w hołdzie Kaliope. Może to budzić pewne zaniepokojenie w czytelniku żądnym nieustannych nowości, może to z kolei świadczyć i o wewnętrznej spójności intelektu Chróścielewskiego. A przecież można jeszcze dorzucić zarzut większego kalibru: czy owa statyczność nie jest pewnego rodzaju anachronicznym fenomenem na tle procesu historycznego, który wykazuje się niezwykłą dynamiką i meandrycznością i czy poeta przypadkiem nie zawierzył bardziej określonym zasadom zamiast poddać się w pewnej mierze tchnieniom ducha czasu? Zarzuty powyższe formułuję w postaci pytań, na które staram sam sobie dać odpowiedź.

Poezja autora „Miesiąca utajonego" jest tym niezwykłym zjawiskiem na mapie poetyckiej Polski, które opiera się wszelkim modom, kierunkom i wpływom, a mimo to zachowuje świeżość widzenia spraw współczesnych i nie zatraca kontaktu ze współczesnością. Niniejszy tom podzielony jest na cykle tematyczno-problemowe, które ułatwiają czytelnikowi rozeznanie w zasadniczych zrębach pasji artystycznych Chróścielewskiego. I tak tom otwiera cykl wierszy zatytułowany „Drzewo anielskowężowe", cykl poniekąd programowy, wyrażający credo poetyckie. Polskie dziedzictwo kulturalne jest mitycznym ogrodem Hesperyjskim, w którym:

...jabłka są mocy anielskowężowej:
Kto zakąsi owocu gałęzi lipowej,
Takie słowo posiędzie, że będzie mógł śmiało
Świat nim stwarzać z chaosu bądź ze świata chaos.

To tajemna moc „rzeczy czarnoleskiej". Przypomina mi się Maurycy Mochnacki powołujący się w fundamentalnym dziele „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym" na zdanie z Pisma, by „gołębią prostotę połączyć z wężową chytrością". To jednocześnie wykładnia teoretyczna poetyki Chróścielewskiego. Wprawdzie nasuwa mi się tu wątpliwość, czy rzeczywiście zadaniem poety jest stwarzać „ze świata chaos". Przypuszczam, że należy to odczytać raczej jako wezwanie do niepokoju, bowiem w kompetencjach poety leży uświadamianie człowiekowi utajonych niebezpieczeństw, jakie zagrażają jego egzystencji moralnej. Zresztą w tak rozumianym stwarzaniu „z chaosu świata" mieści się interesująca nas poezja, czego doskonałym poświadczeniem jest cykl tytułowy.

Karta powołania przychodzi z przeszłości, wręcza ją poeta. Historia jest niczym innym jak magistra vitae, ona nas wzywa, abyśmy w nią się wpisali, w proces „uobecniania się samemu sobie". Przeszłość to przysłowiowa egipska pszenica, żywa i życiodajna (Dęby Starej ,baśni), mimo iż czas jest bezlitosną heraklitejską rzeką. Przeszłość to porządek nie tylko wydarzeń, ale i porządek moralny, bowiem — jak Norwid mówił — z rzeczy świata tego ostaje się jedynie „poezja i dobroć". Czas oddziela złe od dobrego, słuszne od niesłusznego; przeszłość zatem jest swoistym dekalogiem. Drugi cykl „Karty powołania" nosi tytuł „Itaka". Wiadomo, chodzi w nim o krainę lat dziecinnych. Ale podróż do Itaki, o czym wiemy z dzieła Homera, wymaga trudu, poświęceń, wyrzeczeń, nie szczędzi Odyseuszowi goryczy. Metaforyczną esencję owej peregrynacji doskonale uchwycił dwudziestowieczny poeta grecki Kawafis w wierszu „Itaka", w którym pisze o potrzebie istnienia tej wyspy w życiu każdego człowieka; ona wyznacza sens naszemu istnieniu, bez niej nie sposób pojąć racji swego miejsca w świecie:

Itaka dała ci tę piękną podróż,
bez Itaki nie wyruszyłbyś w drogę.
Niczego więcej już ci dać nie może.
I choćbyś ujrzał, że jest biedna —
nie oszukała cię Itaka.
Wróciwszy tak mądry, po tylu doświadczeniach,
zrozumiesz prawdziwie, co to jest Itaka.
(przeł. Z. Kubiak)

Poeta po latach decyduje się na powrót do rodzinnej Itaki, ale okazuje się, że istnieje ona tylko jako wyspa świadomości; najbliżsi ludzie, którzy ją zamieszkiwali, odeszli na zawsze. Realnych powrotów nie ma, można odbywać je tylko wyobraźnią, bowiem i Itaka poddana jest druzgocącemu czasowi, więc nie sposób wziąć „zaskarbionych w ziemi skarbów". To, że Itaka nie wróci w pierwotnej postaci, nie oznacza, że winno zaniechać się podróży do niej. Trzeba ją ocalać w pamięci, ocalać, by w swym pojęciowo-obrazowym kształcie była miejscem odniesienia dla następnych pokoleń.

Tak pojmując sens Itaki Chróścielewskiego zrozumiemy i jego poetykę, która — jak wspomnieliśmy — jest samotną, acz uroczą wyspą na morzu poezji polskiej. Problematyka jej koncentruje się wokół motywu ocalenia W ostatniej powieści „Aurelian albo zjazd koleżeński" wyraźnie określił cele swego pisarstwa: „Gdy przestałem być poetą diabelnie młodym, zacząłem sobie raptem uzmysławiać, że jednym z zadań literatury, w tym i poezji, jest utrwalenie obrazem rzeczy i zjawisk, które dziś są, a jutro może ich nie być i nikt już nikomu o nich więcej nie powie. Zacząłem też sobie uzmysławiać, że wiersz bez obrazu, obraz bez barwy, obraz i barwa bez bogatego i rzadkiego słownika są... funta kłaków warte. Wiem, że pokpiwają za moimi plecami z tych przedmiotowych obrazów, barw i poszukiwań słownikowych młodzi poeci i krytycy. Wiem, bo tak musi być, gdyż jest to imperatyw nieuniknionego". Z pełną więc świadomością, świadomością swej odrębności i jednocześnie ryzyka, realizuje swe dzieło poeta.

Przed czytelnikiem występuje w strojnym, bogatym kostiumie kulturowym, utkanym z najprzedniejszego przędziwa. Język tej poezji to istna szkatułka inkrustowana rzadkim słownictwem, to piękna intarsja, w której wiele słowa najróżniejszego pochodzenia tworzą jedną artystyczną całość. Wskrzeszone słowa wskrzeszają przeszłość, która — co koniecznie trzeba podkreślić — nie jest bóstwem, przed którym poeta pada na kolana. Po opisie, wywołaniu „ducha czasu" następuje refleksja, najczęściej suto zabarwiona humorem. Zresztą i sam opis zawiera już pewną porcję ironii i historycznego dystansu. Już samo rzemiosło wskazuje, że robi to wytrawny majster, który tworząc dzieło jednocześnie bawi się tworzywem. Stąd i zrozumiała jest tak duża ilość sonetów, powstałych w większości w latach ostatnich, w których zachowana jest równowaga między częścią opisową a refleksyjną. Nawet w wierszach o tematyce patriotyczno-militarnej, tej która najbardziej pokutuje w naszym dziedzictwie oleodrukowe postaci i wydarzenia wtrąca poeta humorystyczne epizody, a zwłaszcza tam gdzie zamiast patriotyzmu rej wodzi megalomania narodowa. Przecież i ta tragiczno-humorystyczna wizja września 1939 roku w wierszu Twardowski jest prawdą historyczną, oddającą dowcipnie mentalność i świadomość polityczną części społeczeństwa polskiego:

Rankiem działa odeszły. Cicho biły w dali.
Niebo było bezradne jak strzeleckie rowy.
Na próżno wyglądano orłów narodowych...
Ostatni wzbił się w błękit i Wisłę zapalił...
I wtedy go widzieli — natchniony polityk,
Szatniarz, pewien generał w drodze na Pokucie —
Jak ze zgrozą w źrenicach wzleciał na kogucie
i zadartym szabliskiem rąbał messerschmity.

Nie sposób tej ludyczności odmówić waloru wychowawczego. Poezja Chróścielewskiego jest gabinetem osobliwości, z którego każdy może korzystać, kto tylko ma wciąż na uwadze popularną sentencję Norwida, że „Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek".

W poezji autora Karty powołania splata się wiele polskich tradycji; z patriotyczno-militarną (cykl Bagnet w chmurach i tytułowy) sąsiaduje tradycja intelektualna (cykl Laudetur, czy zastałem księdza Kopernika?), z tradycją wytworzoną w kręgu familijnych protoplastów ściśle się łączy stylizacja dziewiętnastowiecznej poetyckiej gawędy szlacheckiej wraz z obrazkami prowincji, zabarwionymi ciepłym humorem. Chróścielewskiego refleksja historyczna ma przeto wybiórczy charakter; nie zmaga się poeta z całym dziedzictwem kulturalnym Polski, wybrał jedynie część jego, tę, która zasługuje — zdaniem jego — na uwagę współczesnych. Uwagę, to znaczy twórcze przekształcanie, kontynuację. Niepopularna to w świecie żyjącym z dnia na dzień propozycja, która wyrywa z błogostanu, zmusza do intelektualnego wysiłku. To piękna dla czytelnika karta powołania, ale zobowiązująca go do refleksji, że tylko czyn i praca mogą zadecydować o racji jego istnienia i narodu. Poeta swój obowiązek spełnił, ale nie zszedł ze stanowiska, bo woła go historia, która wciąż się tworzy.

Tadeusz Chróścielewski: Karta powołania. Wybór wierszy. Wyd. Łódzkie, Łódź 1973, s. 200.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

☆

Pięknie wydany wybór wierszy Tadeusza Chróścielewskiego, który autor opatrzył tak znamiennym tytułem — „Karta powołania" jest nie tylko summą poetycką dorobku twórczego z lat kilkudziesięciu ale i jakby zwierzeniem osobistym poety na temat swej twórczości, dróg jakimi zdążał do tego podsumowania. Dlatego też, zaskakujący może układ wyboru, który odbiega od normalnie w takich wypadkach stosowanego klucza chronologii, ma swoje uzasadnienie. Nie zawsze może wyraźnie prezentujące się dla czytelnika, ale zdradzające jednak pewien zamysł autora: chodzi tu nie o prezentację kolejno powstałych utworów ale o narastanie różnych doświadczeń poetyckich i zgrupowanie ich wokół pewnych problemów nurtujących poetę w długich latach jego pracy.

Dlatego też dopiero gdzieś w dalszej kolejności znajdujemy cykl „Juvenilia" — „Wiersze z wojny" czy fragmenty cyklu poetyckiego „Uczta Aureliana", wydanego jako konspiracyjny druk w Mińsku Mazowieckim w roku 1944.

Dołączony obok normalnego spisu utworów aneks wyjaśniający z jakich kolejno powstałych tomików wybrane są wiersze zgrupowane w poszczególnych cyklach jest tu swego rodzaju przewodnikiem.

Co jest najbardziej rzucającym się w oczy rysem tej poezji? Jest to wpisywanie poezji w historię. Wpisywanie poezji w dzieje — te zapisane i te nie utrwalone drukiem. Wyobraźnia poetycka Chróścielewskiego żyje i rozwija się na podglebiu historyczności. Na podłożu historyczności szeroko pojętej, interesującej się nie tylko historią „podręcznikową" ale i tą, która wyrasta z legendy, mitu, opowieści, sagi rodzinnej, obyczajowej i towarzyskiej kroniki. A także z krajobrazu i portretu ludzkiego, stanowiących nieodłączny element tych dziejów.

Chciałbym przez to powiedzieć, że wyobraźnia poetycka autora „Karty powołania" jest wyobraźnią par excellence historyczną, że nie sięga do historii z zewnątrz, ale tworzy swe struktury poetyckie niejako z konieczności psychologicznie uwarunkowanej, że płynie ona z naturalnego, wrodzonego autorowi „myślenia" czy raczej odczuwania historycznego wszelkich zjawisk i doznań artystycznych. Elementem wiodącym jest tutaj zawsze fakt lub zespół faktów odnotowanych w pamięci i utrwalonych w wyobraźni autora i na nowo jakby powołanych przez nią do życia. Dlatego też te wiersze wyrastają tak bardzo często jakby z faktury zapisu kronikarskiego. Nie jest to tylko chwyt formalny ale wyraz tej naturalnej skłonności poety do takiego właśnie postaciowania poetyckiego swych przeżyć.

Dlatego też najbardziej rzucającym się w oczy zjawiskiem w dziedzinie stylu jest funkcja opisu poetyckiego. Nie wrażenia, impresji, deformacji czy aluzji, nie skłonności do formalizującej abstrakcji czy poetyckiego intelektualizowania — ale wychodzenie od prezentacji wydarzenia, przedmiotu, portretu, czy elementu krajobrazu, nabierających w poetyckim uogólnieniu specjalnego znaczenia. Dlatego też wiersz jest najczęściej prezentacją faktu a potem stwarzaniem wokół niego struktury doprowadzonej w końcu do swoistego podsumowania, do puenty zawierającej wniosek rekapitulujący artystyczny i moralno-myślowy sens całego zamierzenia.

Znamienna jest więc w wierszach Chróścielewskiego (nie we wszystkich ale w poważnej ich części) owa narracyjność. Jest to jednak narracyjność o kilku warstwach, nie sprowadza się ona bowiem do opisu zewnętrznego — tylko jakby od niego zaczyna: potem znajduje się miejsce na ironiczny czasem dystans, na pół — żart, na smutną groteskę i znak zapytania.

Można by zastanowić się dlaczego taką właśnie drogę wybrał poeta w epoce, tak niesprzyjającej tego rodzaju metodzie poetyzowania. W epoce do niedawna znamiennej zwrotem ku autonomicznej grze wyobraźni, swobodnemu tokowi skojarzeń, aluzyjności mowy poetyckiej, wieloznacznie zamierzonej (lub przypadkowej). W epoce, gdy sięganie do zjawiska, przedmiotu, faktu wydawałoby się pewnym anachronizmem właściwym np. gawędziarstwu epok minionych. Bo przecież ta metoda nie wyrasta również z poetyki faktu, z modnej od niedawna wśród niektórych kręgów najmłodszych poetów „publicystyczności" poetyckiej. Sięga raczej właśnie jakby przekornie i świadomie, acz w sposób nieco ironizujący do opisu gawędziarzy romantycznych, co przydaje jej swoistego wdzięku.

Odpowiedzią na to pytanie byłoby stwierdzenie, że poeta próbuje (poza kilkoma wierszami zdradzającymi pewne powinowactwo z poetyką post-różewiczowską) nie poddawać się presji mody literackiej, lecz podąża nurtem jaki wyłonił go jako poetę już w najwcześniejszych wierszach, tych z lat okupacji. To owa wspomniana „historyczność" widzenia poetyckiego wydaje się być tutaj czynnikiem warunkującym właśnie tego rodzaju poetykę. Oczywiście przeżywanie historii mogłoby się wyrażać także w innych poetykach, np. herbertowskiej. Ale skłonna do pewnego realizmu, do konkretyzowania i narracyjności, wyobraźnia „kronikarska" poety najlepiej widać odpowiada jego założeniom, jego psychice twórczej.

Jak się ma zaś wewnętrzny, czysto liryczny pierwiastek kreacji poetyckiej do owej historyczności? Wydaje mi się, że te najbardziej osobiste, liryczne wewnętrznie treści poetyckie, autonomicznie, chciałoby się powiedzieć, poetyckie — wyrażają się u Chróścielewskiego bardzo pośrednio tylko, poprzez właśnie przyjętą poetykę kronikarza — poety. Są w nią wpisane i w niej utajone. Jednak odczytując poezję autora „Karty powołania" napewno można sobie utrwalić obraz jego osobowości twórczej w jej bardziej złożonych i głębszych warstwach.

Po tych nieco formalizujących i psychologizujących rozważaniach warto wreszcie naświetlić krajobraz poetycki utrwalony w tych kronikach — zapisach, zobiektywizowany w wierszach. Cała poezja Chróścielewskiego, ta poezja — historia, jest jakby jego osobistym przeżywaniem szczególnie mu bliskich miejsc i ludzi. Nade wszystko miejsca urodzenia i lat młodości, regionu mińsko-mazowieckiego. Krajobraz mazowiecki, tej równiny mińsko-warszawskiej jest tak immanentnie wtopiony w tę twórczość, że trudno wyobrazić sobie, by poeta mógł być tym, kim jest, bez tego właśnie rodowodu. A przecież w swych wędrówkach poetyckich i historycznych sięga także do okolic dopiero w późniejszych latach jakby dla siebie odkrytych: do Warmii i Mazur, Opolszczyzny, czy Wybrzeża. Lecz tu czynnikiem, który przyswaja i czyni te ziemie poecie równie rodzimymi jak pejzaż Mazowsza — jest właśnie ów zmysł historyczności, zmysł odczuwania i przeżywania tych nowych krajobrazów i zjawisk i ludzi tak, jakby były wtopione organicznie w podświadomość autora „Karty powołania", jeszcze w latach dzieciństwa. Tak, jakby legendy i wydarzenia związane z tymi terenami były wysłuchane z „opowieści przy kominku" w dzieciństwie mińsko-mazowieckim. Jest to zjawisko szczególnej i nader owocnej adaptacji kulturowej. Wiersze poświęcone Fromborkowi czy Gietrzwałdowi są jakby tego samego rodowodu co wiersze o Latowiczu czy Raszynie.

„Minionych wpisujemy w udane obrazy"... Wpisując tych „minionych", takich jak ci młodzi chłopcy ze stoczonej z okupantem bitwy pod Latowiczem, gdzie wciąż się „miota czas nie dokonany"... wpisał jednocześnie poeta siebie w kronikę — klechdę, w rzeczywistość przeszłości i współczesności, które przecież są jednym, nierozdzielnym strumieniem czasu. Pokazał jak ważne są i owocne treści poetyckie wyrastające z tego co nazywamy „świadomością historyczną" w epoce, gdy ta świadomość u niektórych pisarzy zdaje się zanikać i bywa często opatrywana znakiem zapytania.

BOGDAN OSTROMĘCKI

DZIEDZICTWO KAINA

Epidemia morderstw ogarnęła Amerykę. W Stanach Zjednoczonych ilość zabójstw jest 48 razy większa niż w Anglii, Niemczech Zachodnich i Japonii razem wziętych. W ostatnich trzech latach zamordowanych zostało więcej Amerykanów niż ich zginęło w ciągu 10 lat walk w Wietnamie. W samym tylko roku 1972 ofiarą mordów padło 18.000 osób.

Dotychczas wykrycie sprawców zbrodni było sprawą stosunkowo łatwą, gdyż mordercy i ich ofiary znali się wzajemnie i żywili do siebie jakieś urazy. Był czas, że policja w Nowym Jorku wykrywała sprawców morderstw w 90 przypadkach na 100. W roku 1972 wskaźnik ten spadł do 50. Przyczyną tego jest coraz większa ilość zbrodni popełnianych przez osobników nieznanych ich ofiarom i w żaden sposób z nimi nie powiązanych. Bardzo często zabójstwa mają podłoże rasowe.

Przyczyny tego stanu rzeczy, których się dopatrują sami Amerykanie, to ubóstwo pewnych kręgów społecznych, narkotyki, tarcia rasowe, łatwy dostęp do broni palnej, smutne dziedzictwo Wietnamu, stressy miejskiego życia, wpływ telewizji oraz pobłażliwość sądów. W dwu przypadkach zabójstw na trzy sprawcy (lub także ofiary) działają pod wpływem alkoholu, w połowie przypadków — pod wpływem narkotyków, w trzech razach na cztery zbrodnia dokonywana jest z użyciem broni palnej.

Największe nasilenie zbrodni ma miejsce podczas weekendów. Najbardziej „morderczy" okres rozpoczyna się o dziesiątej wieczorem w soboty i trwa do drugiej rano w niedziele. Ludzie giną w barach, na przyjęciach, na ulicy, podczas kłótni, sprzeczek zakochanych par, napadów rabunkowych, często bez jakiegokolwiek powodu.

Jeśli ofiara zamachu żyje jeszcze w chwili przybycia patrolu policyjnego, to w zależności od szybkości działania policji i od wyposażenia szpitala, do którego ofiara zostaje przewieziona, zależy czy będzie to zabójstwo czy też jedynie ciężkie naruszenie nietykalności osobistej. Lekarze szpitala ogólnego w Denver, na przykład, stwierdzają, że zapobiegają w ten sposób setkom zabójstw rocznie.

Zadziwiającą rzeczą jest wyjątkowa obojętność przypadkowych świadków zbrodni. Zdarza się, że zawiadomieni o wypadku policjanci wchodzą do jakiegoś baru i widzą, że na środku parkietu leży zastrzelony mężczyzna. Gra orkiestra, ludzie tańczą wokół ciała nieboszczyka, a właściciel baru dyskretnie wyciera plamy krwi z podłogi. Wszyscy są zadowoleni i bawią się doskonale. Narzeka się jedynie na policjantów, że nie pozwalają grać orkiestrze i zaczynają przesłuchiwać świadków.

Świadkowie składają zeznania bardzo niechętnie: przeważnie twierdzą, iż nic nie widzieli. Podłożem takiej postawy jest często przekonanie, że sprawca i tak nie zostanie ukarany, być może gra tu także rolę strach przed zemstą, lecz najważniejszą przyczyną jest obawa przed utratą zarobku na skutek konieczności kilkakrotnego składania zeznań i związanej z tym nieobecności w pracy.

Z „The Listener"

Opracował: B. K.

NUMER REJESTRACYJNY RZYM M-03189

Niedawno włoską opinię publiczną zbulwersowała afera podsłuchowa, w którą, jak się okazało, była zamieszana włoska służba wywiadowcza, blisko związana z NATO. Teraz znów nowy skandal: wojskowy kontrwywiad szpiegował pracowników sądowych prowadzących śledztwo w sprawie tzw. „czarnych funduszów". Chodzi tu o ogromne środki pieniężne asygnowane przez monopole w celu przekupywania państwowych i politycznych działaczy Włoch. Spirala skandalu rozkręca się, wyciągając na światło dzienne wciąż nowe szczegóły tej afery.

Gabinet sędziego Renato Scuillante na piątym piętrze rzymskiego Pałacu Sprawiedliwości tonął w słońcu. Z okna było widać stoki Monte-Mario spowite w lekką mgiełkę. Sędzia siedział przy biurku i rozmawiał z dwoma znajomymi dziennikarzami.

— Posłuchaj — powiedział jeden z nich — o ile mi wiadomo, w Pałacu Sprawiedliwości prowadzi się operację „oczyszczanie" gmachu od urządzeń podsłuchowych. Czy wiesz coś o tym?

— Co? — zdumiał się sędzia.

— Powtarzam, podobno w gabinetach pracowników sądowych są zainstalowane mikrofony. Jak sądzisz, czy i w twoim jest taki mikrofon?

— Cóż za bzdura? — wykrzyknął sędzia. — Któż by się ośmielił?

— Nie wiem, kto by się ośmielił — odparł dziennikarz.

— Ale już od kilku dni obserwuję niecodzienny obrazek. Mieszkam, jak wiesz, przy Monte-Mario i idąc w dół po Via Trionfale już przez cały tydzień widzę na jednym z placyków biały samochód z obrotową anteną na dachu. Takich samochodów używa policja i żandarmeria do namiarów krótkofalowców-amatorów. Stąd rzeczywiście tego samochodu nie wiadać.

— Czy nie mógłbyś mi zrobić małej przysługi? — spytał sędzia. Pójdź na ulicę Trionfale i zanotuj numer tego samochodu.

Sędzia sceptycznie przyjął informację dziennikarza, zirytował się jednak i o jego spostrzeżeniach powiadomił naczelnika wydziału śledczego Gullucciego. W korytarzu Scuillante zderzył się niemal z mecenasem Petrelli i poprosił go, żeby natychmiast wezwał Francesco Greco, specjalistę-instalatora, konsultanta prokuratury.

Greco przyszedł z własnym „detektorem" i już w kilka chwil później wykrył elektroniczny „bączek", ukryty w sprężynach kanapy. Był to miniaturowy przekaźnik o dużej mocy, pracujący na częstotliwości 108 megahertzów. Sędzia zbladł: „Ucho" szpiegów słyszało oczywiście i przekazało wszystko, co opowiedział mu o skandalicznej aferze kompanii „Montedison" jej były prezydent — Giorgio Valerio. Odnotowało wszystkie nazwiska, fakty, liczby związane z tzw. „czarnymi funduszami", z których zarząd kompani wypłacał prawicowym działaczom politycznym i partiom ogromne łapówki. W ten sposób, słowo w słowo, zostały odwzorowane na taśmie magnetycznej wszystkie szczegóły jednego z najbardziej drażliwych skandali we Włoszech...

W Pałacu Sprawiedliwości powstał popłoch nie do opisania. Kogo jeszcze podsłuchiwano spośród sędziowskiego grona? Kto zainstalował aparaty podsłuchowe? Kto na to zezwolił? Kto temu patronował?

Kiedy dziennikarz powrócił z Monte-Mario i podał numer samochodu: „Rzym M-03189", Scuillante natychmiast wysłał karabinierów i agentów policji z poleceniem zatrzymania samochodu i jego tajemniczych właścicieli. Ale samochodu na Monte-Mario już nie było, ktoś zdążył uprzedzić szpiegów. Nawinął się jednak mężczyzna, domokrążny handlarz, który samochód widział, sam podszedł do karabinierów i rzekł:

— Czy przypadkiem nie szukacie samochodu? Był tutaj zaledwie kilka minut temu. Biały. Zapamiętałem jego numer: Rzym M-03189. Dlaczego zapamiętałem? Nie spodobał mi się ten samochód, miał dziwną antenę i krzątały się przy nim jakieś podejrzane typy.

Karabinierzy spisali zeznanie świadka. Kilka godzin później odnaleźli samochód. Aparatura radiowa znajdowała się na miejscu, ale kasety z taśmami magnetycznymi znikły.

W rejestracyjnym wykazie samochodów wskazanego numeru nie odnaleziono: między numerami 03188 a 03190 — skreślenie. Właściciela samochodu odnaleziono po długich poszukiwaniach. Okazała się nim SID — służba wywiadowcza ministerstwa obrony, dawna SIFAR generała de Lorenzo. Na marginesie warto przypomnieć, iż de Lorenzo był inicjatorem próby wojskowego przewrotu we Włoszech, przygotowywanego przez SIFAR latem 1964 roku na zlecenie NATO oraz prawicowych kół monopolistycznych. Poszukiwania prowadzone wówczas na własną rękę przez dziennikarzy wydobyły na jaw, iż w posiadaniu SIFAR znajdują się dokumenty o prywatnym, i nie całkiem prywatnym, życiu prawie wszystkich Włochów, odgrywających jakąkolwiek większą rolę w kraju. Owe dokumenty miały się stać podstawą do „czarnych spisów", gdyby junta doszła do władzy. Procesy, które się odbyły w ślad za ujawnieniem tych faktów, prowadzone pod przykrywką „tajemnicy wojskowej", utonęły w niepamięci. Później, od czasu do czasu, chodziły nie sprawdzone słuchy, ale którym też nikt nie zaprzeczał, że jakoby ten czy inny premier kazał zniszczyć kompromitujące archiwa. Chodziły także słuchy, że gen. de Lorenzo wycofał się z SIFAR, ale zdążył ukryć dokumenty, które teraz są rzekomo przechowywane w sejfach pewnego szwajcarskiego banku. Od afery SIFAR i opublikowania związanych z nią faktów minęło dziesięć lat, ale prawda nie ujrzała światła dziennego.

SIFAR, przemianowana obecnie na SID, ożyła, tym razem w postaci białego samochodu firmy Alfa-Romeo, stojącego dziś na podwórcu rzymskiego Pałacu Sprawiedliwości. Prokuratura nader szybko zaprzeczyła, jakoby samochód SID miał cokolwiek wspólnego z elektronicznym „bączkiem" odkrytym w gabinecie sędziego Scuillante. „Sprawy te nie są powiązane" — brzmi oświadczenie prokuratury. Czym wyjaśnić taką pewność rzymskiego prokuratora? Czy przypadkiem nie kryje się za tym tzw. telefon „wyjaśniający" z SID, lub nawet z gabinetu premiera?

Tymczasem po stolicy zaczęły krążyć słuchy, że SID śledziła jakieś samochody, z których prowadzono ponoć „akcję destrukcyjną". Te celowo kłamliwe słuchy rozpuszczano specjalnie dla zamydlenia oczu. Przebąkiwano też, że prawdopodobnie samochód śledził krótkofalowców. Tylko, że taką akcję wykonuje policja, a nie SID; tę naiwną „hipotezę" wnet odrzucono.

W Pałacu Sprawiedliwości panuje zamęt. Wiadomo już teraz, iż pomocnicy pracowników sądowych: sekretarze, stenotypiści są z reguły na usługach policji, korpusu karabinierów i straży finansowej, która we Włoszech pełni służbę pograniczną i wartowniczą. Ci ostatni należą do tzw. „korpusu specjalnego", który już wcześniej był zamieszany w aferę podsłuchu telefonicznego. „Korpus specjalny" podlega bezpośrednio trzem ministerstwom, spraw wewnętrznych, obrony i finansów.

Historia „czarnych funduszów" kompanii „Montedison", z których czerpano środki na przekupywanie partii i działaczy politycznych, sięga 1956 roku. Po złączeniu się firmy elektrycznej „Edison" z chemiczną kampanią „Montecatini" wspomniany już Giorgio Valerio stanął na czele nowego koncernu „Montedison" i dysponując wielkimi środkami kontynuował „rozdawanie pieniędzy aż do 1970 roku". Później znalazł się w samym centrum skandalu: okazało się bowiem, że jedna z filialnych kompanii „Montedison" sprzedawała wojsku używaną aparaturę radiową, oferując ją jako nową, przy czym władze wojskowe okazywały wprost zdumiewającą naiwność...

Po burzliwym posiedzeniu rady kontrolnej „Montedison" Valerio został usunięty z zarządu, a w 1972 roku organa sądowe skonfiskowały w mediolańskiej siedzibie kompanii góry kompromitujących dokumentów. Pieniądze — z wyjątkiem Komunistycznej Partii Włoch — brały wszystkie pozostałe włoskie partie polityczne. Oczywiście za określone usługi. Chodzą słuchy, że Valerio „rozdał" w ten sposób około 30 miliardów lirów.

Mnóstwo dokumentów, które wpadły teraz w ręce sędziego Scuillante, może odszyfrować tylko Valerio, chodzi tu bowiem o pseudonimy, inicjały, skróty, które zna tylko sam były wiceprezydent „Montedison". Mimo niezliczonych „nie wiem", „nie pamiętam", Scuillante właśnie teraz rekonstruował, kawałek po kawałku, tę całą mozaikę związków między politykami i elektrochemicznym gigantem. Za wcześnie jeszcze, żeby wiedzieć, co Valerio opowiedział sędziemu — zbyt drogo mogłoby to kosztować „osoby stojące poza wszelkim podejrzeniem". Mogłoby też rozpętać szeroką kontrakcję lub ostrzec „niewinnych" przed nieopatrznym krokiem.

Na razie — jak pisze, m. in. mediolański „Europeo", wiadomo tylko, dlaczego podsłuch zainstalowano w gabinecie sędziego Scuillante.

JERZY CZECH

- JESZCZE DWA KRYZYSY RZĄDOWE
- BLISKOWSCHODNIA PODRÓŻ MIN. GROMYKI
- WIZYTY W MOSKWIE I WARSZAWIE

Poprzedni komentarz poświęciliśmy w całości zmianom gabinetów w W. Brytanii i Francji. Tymczasem kryzys, który ogarnął zachodni świat obalił jeszcze dwa rządy: **we Włoszech i Belgii.**

WŁOCHY, dotkliwie dotknięte kolejno przez kryzys walutowo-finansowy i paliwowo-energetyczny, pobiły ostatnią dymisją rządu swoisty rekord — **będą miały już 36 gabinet po wojnie.**

Jaki on będzie?

Z doniesień agencyjnych wiemy, że prezydent Włoch powierzył misję utworzenia nowego rządu dotychczasowemu premierowi — Rumorowi i że właściwie dla centrolewicy nie ma obecnie alternatywy. Ale jednocześnie centrolewica nie sprostała zadaniom i dlatego doszło do kryzysu rządowego.

Sytuacja gospodarcza i społeczna Italii jest **wyjątkowo trudna.** Ceny wzrosły o 30—50% i to przeważnie artykułów spożywczych. Około miliona osób pozostaje bez pracy, a trzy razy więcej znajduje zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin. Deficyt w budżecie państwa wzrósł od 1972 roku ponad dwukrotnie. Ciągłe duże namiętności wyzwala problem rozwodowy. Już w czasie obecnego kryzysu prez. Leone podpisał dekret **o przeprowadzeniu 12 maja ogólnonarodowego referendum w tej sprawie.**

W tym miejscu przypomnijmy czytelnikom, że przed kilku laty ustawą dopuszczono we Włoszech możliwość rozwodów cywilnych. Skrajna prawica kwestionowała jednak zasadność ustawy i zabiegała o ogólnokrajową konsultację na ten temat. Cel, który sobie stawiała, to wprowadzenie podziałów na tle rozwodów w obozie sił postępowych. Obecnie — zdaniem prasy włoskiej — liczba zwolenników rozwodów znacznie się zwiększyła i referendum może nie spełnić roli, jakiej upatrywała w nim prawica.

Już tylko z wyliczonych powodów wynika, jak trudne zadania staną przed nowym gabinetem włoskim. Zastanawiając się, jak może dalej rozwijać się sytuacja polityczna, podkreślamy, że **po chadecji najliczniej reprezentowaną partią w parlamencie są komuniści.** Dysponują oni 179 mandatami w 630-osobowej izbie. Wobez dużego rozbicia życia politycznego we Włoszech z tak poważną siłą musi teraz liczyć się każdy gabinet. Lapidarnie ujął to francuski „Le Monde", stwierdzając, że **dziś już nie można rządzić tym krajem przeciwko komunistom.**

Chociaż Włosi przyzwyczaili się do częstych zmian ekip kierowniczych — obecny kryzys oceniany jest jako najpoważniejszy.

Rozpisaniem przedterminowo nowych wyborów zakończył się **21 kryzys rządowy** w **BELGII.** W nadziei że wyłonią one parlament o bardziej przejrzystym układzie sił politycznych, król zdecydował się na ten krok po dymisji trójpartyjnego gabinetu.

Wyniki niedzielnych wyborów wcześniej będą znane czytelnikom niż komentarz ten dotrze do Waszych rąk. Nie ma więc sensu rozważanie szans każdej z partii. Podkreślmy tylko, że **socjaliści,** za których sprawą doszło do nowych wyborów, **liczyli na znaczne umocnienie swej pozycji.**

Pora już skończyć z tematyką kryzysową i przejść do innych wydarzeń. Ostatnio najczęściej pisało się o **BLISKIM WSCHODZIE.** Przede wszystkim dlatego, że tuż po zakończeniu czwartej tury rozmów Kissingera w tym rejonie — **w Kairze i Damaszku przebywał z oficjalną wizytą min. A. Gromyko.** Jego rozmowy z gospodarzami dotyczyły stosunków dwustronnych oraz sytuacji bliskowschodniej. W komunikacie radziecko-syryjskim podkreśla się, że rozdzielenie wojsk jest pierwszym krokiem na drodze do całkowitej ewakuacji oddziałów izraelskich ze wszystkich okupowanych ziem arabskich. Bez niej i bez zapewnienia arabskiemu narodowi Palestyny słusznych praw nie można bowiem ustanowić trwałego i sprawiedliwego pokoju.

W komentarzach zachodnich przeważa opinia, że bliskowschodnia **podróż min. Gromyki podkreśla wagę udziału Związku Radzieckiego w zabiegach dyplomatycznych,** zmierzających do pokojowego ustabilizowania sytuacji.

Z bliskowschodniej sceny politycznej odnotujmy jeszcze: zapowiedź reorganizacji rządu egipskiego, sformowanie przez Goldę Meir gabinetu izraelskiego, w którym ostatecznie pozostał Dajan, opracowywanie planów szybkiego otwarcia Kanału Sueskiego dla normalnej żeglugi oraz arabską konferencję naftową. Z konferencją tą **Stany Zjednoczone,** jak wynika z kilku oficjalnych wypowiedzi, **wiążą nadzieje na zniesienie embarga na dostawy ropy.** Na konferencji prasowej prez. Nixon stwierdził na ten temat: „Wprawdzie postęp na froncie dyplomatycznym nie jest związany ze zniesieniem embarga, ale nieuchronnie wywiera wpływ na stanowisko w tej sprawie". Nixon oznajmił także, iż USA uzyskały zgodę Syryjczyków i Izraelczyków na przybycie do Waszyngtonu w celu przedyskutowania, jak można rozdzielić wojska na froncie syryjskim.

Dzisiejszy przegląd wydarzeń zakończymy podkreśleniem:

— wagi **wizyty prez. Pompidou w Związku Radzieckim** i jego rozmów z L. Breżniewem. Ta kolejna runda dialogu radziecko-francuskiego potwierdza bliskie stosunki, jakie łączą oba kraje:

— oraz znaczenia **wizyty partyjno-rządowej CSRS w Polsce.** Jest ona świadectwem, jak żywe są kontakty czołowych działaczy Czechosłowacji i Polski i ścisłe współdziałanie naszych krajów zarówno na płaszczyźnie dwustronnej, jak i międzynarodowej.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

LITERACKIE GAFY

Marzyło mi się zawsze, aby ktoś napisał książkę o gafach w literaturze. Nawet nie przypuszczałem, że to marzenie realizuje pisarz szczególnie przeze mnie ulubiony – Ludwik Bohdan Grzeniewski. Co prawda jeszcze nie powstała książka, ale mam nadzieję, że szkic „Archipelag gaf" kiedyś się rozrośnie.

Ponieważ, wbrew oczywistości, niechęć wydawców do felietonistyki jest przeogromna, także tom felietonów L.B. Grzeniewskiego ukazał się w bibliofilskim nakładzie. Nie oprę się więc pokusie zaprezentowania czytelnikom „krótkiego kursu" literackiej gafologii.

Zacznijmy od Szekspira. Jakiś dzisiejszy doktor niehabilitowany czyli oddelegowany do pracy naukowej, powiedziałby o nim, że dureń, nieuk i bez kwalifikacji. „Szekspir bowiem nie znał się na geografii. Czechy umieszczał nad morzem. Protej siada na okręt, by jechać z Werony do Mediolanu i co gorsza – czeka jeszcze na przypływ. Florencja jest dla Szekspira także portowym miastem.

Szekspir nie znał również historii. Ulisses cytuje u niego Arystotelesa, a Tymon Ateńczyk powołuje się na Senekę i Galena.

Szekspir nie znał filozofii, nie znał się na sztuce wojennej, mieszał obyczaje różnych epok. W „Juliuszu Cezarze" bije zegar, Kleopatrze służebna pomaga rozpiąć gorset, armaty strzelają prochem za czasów Jana bez Ziemi". Tyle Grzeniewski.

Dodajmy, że Juliusz Cezar żył w czwartym wieku naszej ery, a zegar bijący godziny wynalazł Chińczyk – Liang Ling-can w roku 724. Gorsety, które nosi u Szekspira Kleopatra, wynaleziono piętnaście stuleci później. Jan bez Ziemi żył w latach 1167–1216, a proch strzelniczy poznano w Europie dopiero w XIV wieku...

Szekspir nie znał się więc na wielu sprawach – znał się wszakże doskonale na pisaniu. I to usprawiedliwia jego gafy.

Podobnie nie mamy pretensji do Mickiewicza o harce botaniczno-kalendarzowe w „Panu Tadeuszu". Julian Przyboś wylicza: „równocześnie kwitną kwiaty wiosenne i dojrzewają owoce jesieni. W tym samym czasie fiołki i astry zrobią jakiś idealny sezon, w którym mak mami źrenice wielością barw żywych, różnych i w którym dojrzewa harbuz, żniwiarze kończą żniwo i kosi się trawę, a święto Matki Boskiej Zielnej przypada na Niedzielę Palmową"...

Archipelag gaf malowany przez Grzeniewskiego pełen jest wysp i wysepek z różnych epok. Włodzimierz Majakowski pisząc o Brooklyńskim moście woła: „stąd bezrobotni do rzeki Hudson skakali". Byłoby im dość daleko, bo Hudson płynie akurat po przeciwnej stronie Manhattanu. Arnold Zweig popełnił gafę już w samym tytule powieści „Spór o sierżanta Grischę" (Streit um den Serganten Grischa). Wytknął mu to Melchior Wańkowicz, mówiąc, że armia rosyjska nie miała sierżantów, tylko feldfebli.

Gafy nie omijały zresztą także Wańkowicza, któremu z kolei wytyka je Krzysztof Kąkolewski: „W «Zielu na kraterze» czytamy o Tili: „Malec... podniósł pulchny paluszek i zwierzył się z ogromnego dorobku: – Palać!... A w «Zupie na gwoździu» pisze Pan we wspomnieniach z Kuby o przygarniętym przez Murzynów białym dziecku, które podnosi tłustą piąstkę... jakby zwierzało wielkie odkrycie: – Palać... Co Pan na to? Jak Pan to wytłumaczy?"

Na co Wańkowicz odrzekł „Jeśli w obu wypadkach dziecko powiedziało «palać», to ja leżę..."

Literatura współczesna zna również gafy... towarzyskie. W pewnej książce wydanej parę lat temu bohaterowie rozmawiają o pisarzach. Pada nazwisko autentycznego pisarza – redaktora czasopisma społeczno-kulturalnego. Po paru latach ukazuje się drugie wydanie książki: nazwiska pisarza już tam nie ma. Dlaczego? Po prostu przestał być redaktorem czasopisma.

Archipelag gaf jest przeogromny i sądzę, że zasługuje na książkę, którą mógłby napisać Ludwik B. Grzeniewski. Nie dlatego, żeby się czepiać. Skądże znowu? Po prostu my, czytelnicy i miłośnicy literatury wiemy przecież jak bardzo zbliża i uczłowiecza twórcę jakieś drobne, zwykłe ludzkie potknięcie. O ileż sympatyczniejszy jest nam spiker telewizyjny, jeśli się zająknie lub zakaszle. Z automatycznej kukły staje się raptem normalnym człowiekiem – jednym z nas.

Podobnie i z gafami w literaturze – są świadectwem, że książki tworzą zwykli ludzie, potykający się o materię faktów i słów, błądzący w labiryntach pamięci. Szkic L.B. Grzeniewskiego uzmysłowił mi, że straszna byłaby literatura bez potknięć i pomyłek.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

GDYBY BABCIA MIAŁA WĄSY...

Miała babcia domek z ogródkiem, gdzie hodowała kwiaty i wnuczka. Waleria S., bo tak się babcia nazywała, tkaczka na emeryturze, hodowała tego wnuczka z tej prostej przyczyny, że jej córka Janina, matka chłopca, poczęła go z osobnikiem nieznanym, w nieznanych okolicznościach, urodziła zaś u babci, po czym, gdy smyk dożył sześciu miesięcy, puściła się na miasto: wykupiła placowe pod świetlówką i jako niestowarzyszona, rozpoczęła działalność handlową, specjalizując się w upłynnianiu najcenniejszego swego detalu.

Taki jest początek bajki, potem będzie już sama proza życiowa. A więc wnuczek rósł sobie i rósł, dziadek zaś, majster tkacki (jeszcze przedwojenny), zmarł i w domku zrobiło się krucho. Przeto babcia wystąpiła o ściągnięcie alimentów dla wnuczka, ale nic z tego nie wyszło, gdyż nikt nie mógł ustalić wysokości dochodów matki, ani miejsca jej pracy. Babcia tylko od czasu do czasu otrzymywała od Janiny przekaz w wysokości złotych trzystu, aby ta ostatnia mogła się wykazać, że jednak coś płaci; w gruncie rzeczy nic nie płaciła, gdyż po wysłaniu przekazu przychodziła do babci i odbierała przesłane pieniążki.

Wobec powyższego babcia wydzielała wnuczkowi, Janowi S., skąpe racje żywnościowe, a jeszcze skromniejsze kieszonkowe. Mimo to chłopiec przebrnął w jakich takich ciuchach i z jakimi takimi wynikami przez szkołę podstawową, po czym podjął naukę w Zasadniczej Szkole Metalowej. W tej szkole wyrósł, puścił mu się wąs, w związku z czym poczuł miętę i niedosyt środków finansowych na cele reprezentacyjne oraz kupno hippisowskich ciuchów. Łatwo się więc domyślić, że z trudem ukończył szkołę, gdyż miał przerwy w nauce spowodowane dwoma, nieudanymi zresztą, skokami na kiosk i sklep monopolowy. Na szczęście powołano go do wojska i babcia odetchnęła, ale wkrótce poczuła się bardzo osamotniona, gdyż wnuczek, Jan S., mimo spaczeń charakterologicznych, był jej zawsze bliski. Teraz nie raczył nawet napisać do babci, niewdzięcznik...

Waleria S., pragnąc zrekompensować sobie brak kontaktu z wnukiem, nawiązała korespondencję z Bogumiłą L., koleżanką z lat szkolnych, obecnie zamieszkałą w Częstochowie. Obie babcie pisywały do siebie rzewne, pełne wspomnień listy i wspólnie żaliły się na swój los. Bogumiła L., obiecywała, że odwiedzi Walerię S., ale z różnych powodów wciąż odkładała wizytę. Tymczasem Waleria S., ślepła i głuchła, stukała jej bowiem osiemdziesiątka, a w swym osamotnieniu stawała się coraz bardziej bojaźliwa, tak, że wychodząc z domu i wracając ze sklepu czy spaceru, każdorazowo zaglądała na spód bieliźniarki i sprawdzała zawartość dużej imieninowej bombonierki od Wedla, gdzie przechowywała biżuterię, złote rubelki i około dwudziestu tysięcy uciułanego grosza, nie wierząc nawet w czujność swego rudego pieska rasy mieszanej. Oszczędności te były dla niej tym cenniejsze, że pochodziły z lenszych czasów, złożone jeszcze za świetej pamięci przedwojennego majstra tkackiego.

Wrócił z wojska Jan S. Babcia zaczęła mu wytykać niewdzięczność, pokazując liczne listy od Bogumiły L., a gdy nie wierzył w te listy, pokazała mu fotografię przyjaciółki, udowadniając, że takowa istnieje. Wówczas wnuczek przyznał, że źle postępował, ale wkrótce poprawi się i przestanie być dla babci ciężarem. W tym celu namotał sobie dziewczynę, Helenę R., którą zaczął często sprowadzać do domu babci. Dziewczyna ta bardzo się babci nie podobała, gdyż wypijała duże ilości wina i używała słów wulgarnych. Ponadto Waleria S., śledząc wnuka, dotarła do pewnej kamieniczki przy ulicy Wróblewskiego, gdzie w wyniku przeprowadzonego wywiadu środowiskowego dowiedziała się od maglarki i dozorczyni, że Helena R. pracuje w tej samej branży, co wyrodna córka babci, Janina S.

Kiedy więc wnuk oznajmił, że będzie się żenił i poprosił łagodnie, aby babcia wyciągnęła z bombonierki forsę i kosztowności, Waleria S. zdecydowanie się temu sprzeciwiła. Na to wnuk zagroził jej syfilisem, paraliżem, całkowitą ślepotą oraz poprzysiągł zemstę. Zrozpaczona babcia zwróciła się o pomoc do swej przyjaciółki Bogumiły, ale ta odpisała, że niestety, ale nie może odbyć tak kosztownej podróży. Babcia martwiła się tym głośno, a wnuk jeszcze głośniej śmiał się z niej i szydził.

Jednakże w tydzień później Bogumiła L. napisała, że przyjedzie w czwartek 31 stycznia, po otrzymaniu renty. Babcia triumfowała, wobec czego wnuk stwierdził, że nic po nim w domu i w oznaczonym dniu wyniósł się do Heleny R.

Bogumiła L. rzeczywiście zjawiła się przed wieczorem w domku Walerii S. Obie babcie popłakały się ze szczęścia, potem z żalu i wspólnych wspominków, ale w późnych godzinach wieczornych zmorzył je sen, gdyż popiły ździebko, albowiem emerytki lubią żyć na nalewkach.

Kiedy rankiem Waleria S. zbudziła się, stwierdziła ze zgrozą i smutkiem, że przyjaciółka opuściła ją zdradziecko. Zaniepokojona zajrzała do bieliźniarki i omal nie zemdlała, gdyż okazało się, że zniknęła również bombonierka od Wedla. W tym czasie wrócił Jan S., który natychmiast zawiadomił milicję, po czym udał się do pracy.

Do akcji przystąpił teraz starszy sierżant z KD MO, który energicznie zabrał się do przesłuchania babci. Waleria S., zapodała, że bardzo ją smuci postępek Bogumiły L., ale wcale jej nie posądza o kradzież. Była taka miła, nawet piesek na nią nie szczekał. Ale zestarzała się biedaczka, oślepła prawie, bo musiała nosić ciemne okulary. Głos jednak miała jeszcze zdrowy, a tę nalewkę, co z sobą przywiozła, piła jak smok...

Starszy sierżant, który był bardzo bystrym starszym sierżantem, mruknął, że to dziwne, zwłaszcza z tym pieskiem, i kazał sobie pokazać listy. Przejrzał je bardzo dokładnie, jak Sherlock Holmes, pokiwał głową i oznajmił, że charakter pisma w ostatnim liście nie bardzo się zgadza. Następnie wyobracał kopertę na wszystkie strony i stuknąwszy palcem w znaczek, krzyknął radośnie, że ten list został nadany w Łodzi, a nie w żadnej Częstochowie.

Babcia osłupiała, ale sierżant natychmiast wyrwał ją z osłupienia, pytając, gdzie się podziewał przez noc jej wnuczek. Waleria odparła, że poszedł do tej rozwydrzonej dziwki, Heleny R. Starszy sierżant udał się natychmiast pod wskazany adres przy ulicy Wróblewskiego i przeprowadził wstępne dochodzenie na osobie dozorczyni. Ta zapodała, że owszem, Jan S. wchodził do tej k... z pierwszego piętra wczoraj po południu, a wyszedł dziś wczesnym rankiem.

– Ale widzi mi się, – powiedziała dozorczyni – że oni w tę noc nic sobie w krok nie dali...

– Wyrażajcie się oględniej! – huknął groźnie starszy sierżant. – Dlaczego tak twierdzicie?

– Jak by mogli, panie władzo, kiedy przed wieczorem wyszła od nich taka siwa babcia, która później, gdzieś przed północą, wróciła do mieszkania i do rana nie wychodziła?

Starszy sierżant wtargnął do mieszkania Heleny R., by ująć siwą babcię, ale zastał w pościeli młodą dziewczynę, która nie potrafiła wyjaśnić, skąd się u niej wzięły leżące w kącie: stara, czarna sukienka z koronki i czarny płaszcz z kołnierzem z wytartego lisa oraz siwa peruka.

– Ale ciemne okulary są moje, Janek mi je kupił – zeznała. – Peruka też moja...

Starszy sierżant odprowadził Helenę R. na komisariat w celu przesłuchania, sam zaś udał się do Walerii S. i spytał, czy jej czasem nie zginęło coś z szafy. Wstrząśnięta zniknięciem bombonierki, babcia zupełnie zapomniała o szafie. Stwierdziła teraz z rozpaczą, że nie ma w niej czarnej sukienki z koronki i płaszcza z kołnierzem z wytartego lisa... Wówczas starszy sierżant wyjaśnił, jej, że kradzieży odzieży dokonał wnuk, bombonierkę zaś zabrała Helena R., przebrana za Bogumiłę L.

Babcia nie mogła w to uwierzyć, twierdząc, że Helena R. nie znała ich dawnego życia.

– A listy, szanowna pani? – spytał starszy sierżant.

Ja się wcale nie dziwię, gdyż w coś takiego rzeczywiście trudno uwierzyć. Bo, jak powiadają, gdyby babcia miała wąsy, to byłby dziadek. W tej sprawie siwa babcia okazała się przewrotną młodą prostytutką bez wąsów, co jest niewątpliwie ciekawym zjawiskiem przyrodniczym, dającym przyczynek magistrom biologii do napisania pracy doktorskiej...

JAN GONTAL

KSIĄŻKA

III BRYGADA ARMII LUDOWEJ

Wspomnienia organizatorów ruchu oporu podczas okupacji hitlerowskiej stanowią ważny instrument dla historyków — badaczy tego okresu. Tym bardziej, jeśli zawierają one rzetelny materiał faktograficzny dotyczący opisu sytuacji politycznej, nastrojów w społeczeństwie polskim, form organizowania ruchu oporu, zdarzeń i ludzi zaangażowanych w walkę z najeźdźcą. „Wspomnienia dowódcy III Brygady AL" poświęcone są w przeważającej mierze działalności Gwardii i Armii Ludowej w Radomszczańskiem.

Bolesław Hanicz Boruta, ppłk w stanie spoczynku, syn robotnika kolejowego, uczestnika rewolucji 1905 roku, urodził się 11 września 1906 r. w Wymysłówku koło Radomska. Wychowany w atmosferze tradycji walki rewolucyjnej, wcześnie związał się z lewicowym ruchem młodzieżowym. Prowadził aktywną działalność w organizacji KZMP, m.in. pełnił funkcje sekretarza częstochowsko-piotrkowskiego Komitetu Okręgowego KZMP. Za przekonania polityczne i działalność komunistyczną był dwukrotnie aresztowany. Po klęsce wrześniowej już w październiku 1939 roku w oparciu o znajomości i kontakty przedwojenne organizuje w powiecie radomszczańskim podziemną walkę z okupantem. Jest inicjatorem powołania do życia organizacji lewicowej skupiającej komunistów, pepesowców, ludowców i bezpartyjnych. Pierwsze wspomnienia dotyczą właśnie tego okresu działalności autora oraz jego pracy konspiracyjnej w szeregach ZWZ i AK.

Działalność ta nie zadowala Hanicza. Wiosną 1943 r. udało mu się nawiązać kontakt z dowództwem III Obwodu Gwardii Ludowej. W wyniku rozmów i dyskusji, przechodzi z częścią swych żołnierzy i bronią do Gwardii Ludowej, w szeregach której może realizować swoje cele bezpośredniej, szeroko zakrojonej walki z okupantem hitlerowskim. Odtąd lasy radomszczańskie stały się jego domem.

Wertując kartki wspomnień, czytelnik uczestniczy w ważniejszych akcjach bojowych podejmowanych w latach 1943—1945 przez autora. Piastował on wówczas stanowisko dowódcy Gwardii Ludowej w pow. radomszczańskim, szefa Sztabu Częstochowsko-Piotrkowskiego Okręgu Armii Ludowej oraz dowódcy III Brygady AL im. Gen. Józefa Bema, która zadała poważne straty gospodarce i siłom ludzkim okupanta.

Książka z pewnością zainteresuje historyków okresu okupacji, gdyż przedstawia nie tylko materiał faktograficzny, lecz także ocenę nastrojów społeczeństwa w tym tragicznym okresie historycznym, a zwłaszcza odczucia, postawę i zaangażowanie ludności wiejskiej w ogólnonarodowych zmaganiach z okupantem hitlerowskim. Autorowi udało się napisać wspomnienia odchodzące od szablonu wielu innych z tego okresu. W sposób interesujący i żywy przedstawia działalność PPR i jej zbrojnych oddziałów w południowej części woj. łódzkiego. Wzbogacają one wiedzę czytelnika o skomplikowanych stosunkach politycznych w polskim podziemiu oraz o życiu partyzantów w lesie, ich formach walki, poświęcenia i więzi z szerokimi kręgami społeczeństwa, dzięki której mogli trwać i walczyć. Dla pisarzy i dziennikarzy może stać się inspiracją do opracowań zawsze żywej i pasjonującej tematyki okupacyjnej.

Książka z powodzeniem może być też wykorzystana przez nauczycieli, a zwłaszcza nauczycieli historii i wychowania obywatelskiego w procesie dydaktyczno-wychowawczym.

Opracowania wspomnień dokonał Ryszard Klimczak. Napisał on także krótki wstęp charakteryzując w nim postać autora oraz rozwój partyzantki w okręgu Częstochowsko-Piotrkowskim PPR.

STEFAN FIJAŁKOWSKI

1) Bolesław Hanicz Boruta, Wspomnienia dowódcy III Brygady AL, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973, s. 172.

LEWYM OKIEM

GABINET STAROŻYTNOŚCI

Czasami podczas moich nieomal nieustannych a dość chaotycznych lektur, a zwłaszcza podczas wertowania co starszych pism, książek, czasopism, natrafiam na fragment, który aż się prosi o zestawienie go i porównanie z dzisiejszym naszym doświadczeniem. Niekoniecznie są to analogie, które by nam dawały asumpt do filozoficznych rozważań w sensie: nihil novi sub sole. Ale tak sobie, gwoli zabawy...

Na przykład:

„Nie upłynął miesiąc jeszcze, jak jednocześnie prawie w jatkach na Krochmalnej i za Żelazną Bramą rzeźnicy poranili nożami kupujących, a już rubryka wypadków notuje świeży fakt świadczący o niebywałym zdziczeniu obyczajów wśród tej grupy pracujących. W sam dzień Nowego Roku właściciel jatki na Ordynackiej rzucił się na bezbronną kobietę i tak się pastwił nad nią, że obecnym z trudem udało się wyrwać ofiarę z rąk oprawcy. Dojdzie niebawem do tego, że nikt dbający o życie nie odważy się pójść do jatki warszawskiej...".

Tak pisał felietonista „Kuriera Polskiego", Feliks Kwaśniewski, **4 stycznia 1903 roku.** Nieważne, że dzisiaj w dzień Nowego Roku sklepy mięsne, czyli jatki, są nieczynne, bo święto. Ważniejsze że nikogo się tam nie morduje, więc może nasze utyskiwania na niedość grzeczną obsługę klienta w MHM należałoby „wyciszyć"?

Albo — czy protokół z „Pierwszego zjazdu pedagogicznego przyrodników i gieografów w Warszawie", opublikowany w miesięczniku „Nowe Tory" ze stycznia 1907 roku, nie pobrzmiewa aktualną dziś problematyką:

„Choć biologia mówi o życiu osobnika i o życiu gatunku, jednak dotychczas o drugim nie mówiono młodzieży, nazywając prawo rozradzania się „kwestią drażliwą". Od pewnego czasu w porozumieniu z rodzicami, p. Jezierski prowadzi wykład odpowiedniego działu z najlepszymi rezultatami. Wobec tego proponuję kwestię tę omówić rozstrzygająco i powziąć uchwałę co do prowadzenia wykładów biologii w sposób przez siebie praktykowany. Niestety, słowa p. Jezierskiego padły na grunt mało przygotowany. Na zjeździe przyrodników przesąd zwyciężył".

Nie wiemy, jaki był przez pana Jezierskiego praktykowany sposób nauczania młodzieży o rozradzaniu się gatunków. Była to chyba pierwsza zanotowana w polskiej prasie próba oświaty seksualnej, podjęta — było nie było — prawie siedemdziesiąt lat temu. Dyskusja na ten temat, jak wiemy, trwa. Dziś pan Jezierski wykładałby pewnie „Przygotowanie do życia w rodzinie", który to przedmiot zezwolono w bieżącym roku szkolnym — jeśli ciało pedagogiczne zechce — uwzględnić w programach klas licealnych.

Możemy się cofać w czasie i cofać — wciąż trafiać będziemy na zjawiska, znane nam z ostatnich dni. Widzieliście w prasie zdjęcia chilijskich żołnierzy, rzucających w ogień stosy książek? Proszę bardzo — oto memoriał chińskiego ministra Li Sy, przedłożony cesarzowi Szy-huang-ti, założycielowi dynastii Ts'in, na dwieście lat przed naszą erą (patrz „Antologia Literatury Chińskiej" z 1956 r.):

„Wszystkie księgi przechowywane w Urzędzie Dziejów a nie będące zapiskami z dziejów Ts'in należy spalić. Z wyłączeniem dzierżących stanowiska z ramienia Urzędu Uczonych, wszyscy na świecie, którzy ośmielają się przechowywać potajemnie Księgi Pieśni, Księgi Dokumentów oraz rozprawy różnych myślicieli, winni donieść o tym namiestnikom ziemskim i wojskowym, aby księgi te bez różnicy zostały spalone. Kto ośmieli się rozprawiać o Księdze Pieśni i Księdze Dokumentów, ten zostanie pozbawiony życia, a jego ciało wystawione będzie na rynku. Kto w ciągu trzydziestu dni od wydania ustawy nie spali ksiąg, będzie napiętnowany i zesłany na roboty przymusowe przy naprawie murów. Kto pragnie uczyć się praw i ustaw, niech urzędników bierze sobie za nauczycieli".

Nie wiem, co ryli neandertalczycy w swoich jaskiniach, nie czytuję assyryjskich klinów ani egipskich papyrusów. Kto wie, czy nie znalazłby się tam fragment o kelnerach, nie wydających reszty, i o pociągach pośpiesznych z Memphis do Teb, spóźniających się czterysta minut...

ĆWIEK

BARON UNGERN

O baronie Ungernie pisał Ossendowski, pisał także Giżycki. Obaj zresztą znali Ungerna. Do dziś — choć dawno nie żyje legendarny „prezydent Syberii", choć zmarli kronikarze jego życia — wciąż powraca temat mitycznego skarbu barona, skarbu ukrytego... Gdzie? Nie wiadomo. Może w dalekiej Syberii, a może... w Polsce?

A może nigdzie. Może to tylko jeszcze jedna poruszająca wyobraźnię legenda? Ale ludzie szukają skarbu barona, piszą książki o nim, gromadzą fakty, hipotezy... I już chyba pozostanie ta historia o baronie Ungernie w kręgu domysłów i tajemnic. Zawsze będą tysiące czytelników, którzy sięgną po opowieść pełną zagadek i niedopowiedzeń. Drugie wydanie książki Witolda Michałowskiego zniknęło już z księgarskich półek, co świadczy, że grono zainteresowanych legendarnym skarbem wciąż rośnie.

Witold St. Michałowski „Testament barona", LSW, cena 25 zł.

ZAMACH

„Stauffenberg przeprasza von Keitla: zapomniał pasa i czapki w przedpokoju feldmarszałka. Szybko idzie z powrotem. Zapomniał nie tylko pasa i czapki, zapomniał także teczki...

Tak się zaczyna powieść dokumentalna Jerzego Putramenta „20 lipca". Oczywiście, wiadomo, w zapomnianej teczce była bomba, która miała zgładzić Hitlera. Stało się jednak inaczej. Hitler zmienił miejsce narady. Odbyła się ona nie w bunkrze, gdzie z uczestników zostałoby niewiele, lecz w baraku, który wybuch bomby nieco osłabił.

Najgłośniejszy zamach na Hitlera skończył się dla führera kontuzją. Dla spiskowców i podejrzanych o spisek (także dla ich rodzin) skończył się krwawą masakrą.

Historia opisana przez Putramenta znana jest z dziesiątków publikacji, filmów i dokumentów. Z tych książek i dokumentów autor sporządził studwudziestostronicową opowieść, rezygnując z komentarzy i literackiej fikcji. Jak pisze: „Same fakty ustawiły się do obiektywu z zachowaniem dramatycznych perspektyw". Jest to w istocie opowieść dramatyczna — przypominienie jeszcze jednego wydarzenia, które wstrząsnęło Trzecią Rzeszą.

Jerzy Putrament „20 lipca", Wyd. MON, cena 7 zł.

GROCHOWIAK

Grochowiak to już dziś nieomal klasyk. Ten czterdziestoletni pisarz zdążył wydać siedem tomów wierszy, trzy powieści, bodaj dwa tomy opowiadań oraz napisał co najmniej dziesięć sztuk scenicznych i słuchowisk radiowych. Nagród nie liczę, bo było ich — jak się zdaje — więcej nawet niż książek. Nie liczę także publicystyki, która, gdyby ją zebrać w tom, sięgnęłaby kilkuset stronic druku.

Nakładem PIW-u w Bibliotece XXX-lecia ukazały się „wypisy" z Grochowiaka. Bardzo dużo wierszy i dwie sztuki. Proporcja chyba prawidłowa. W moim przekonaniu Grochowiak jest przede wszystkim poetą, choć twórczość dramatyczna przysporzyła mu niemało popularności (zwłaszcza telewizyjni i filmowi „Chłopcy"). A poetą jest Grochowiak wybitnym i już dziś w wieku lat czterdziestu osiągnął to, do czego inni dochodzą w okolicach osiemdziesiątki.

Stanisław Grochowiak „Rzeczy na wersety i głosy", PIW, cena 25 zł.

WYWIAD — RZEKA

„Wywiad-rzekę" drukowany w swoim czasie w „Literaturze" czytali wszyscy i była to lektura pasjonująca. Kto wie — może dlatego, że lektura z tygodnia na tydzień, z odcinka na odcinek mamiła obietnica czegoś nowego. Za tydzień.

Niestety — wywiad opublikowany w książce nieco rozczarowuje. Oczywiście wierzę, że wielu czytelników dowie się z tej książki sporo nowego ale... kto czytał „Zupę na gwoździu", „Od Stolpców..." „Szczenięce lata", „Karafkę", „Tędy i owędy"... Po prostu Wańkowicz jest pasjonujący w tym, co pisze — całe swoje życie wkomponował w kolejne książki i naprawdę nic nowego nie może odpowiedzieć na 190 pytań Kąkolewskiego. Wańkowicz przez całe swoje życie we wszystkich książkach odpowiadał na tysiące pytań... Ten wywiad-rzeka to zaledwie struga i to bardzo wazlutka. „Wańkowicz krzepi" całą swoją twórczością — ta książka to bryk zaledwie.

„Wańkowicz krzepi". Z Melchiorem Wańkowiczem rozmawia Krzysztof Kąkolewski, Czytelnik, cena 15 zł.

BYŁ BAL

Kilkanaście lat temu wydano ten zbiór esejów Cata-Mackiewicza, związanych z historią XIX wieku. Wówczas stał się sensacją sezonu, wywołał najróżniejsze reakcje: od zachwytów do obraźliwych inwektyw pod adresem autora. Był to kij wetknięty w mrowisko.

Jedni pisali wówczas, że czytanie Mackiewicza należy do przyjemności wyszukanych, że książka pobudza do rewizji pewnych zapatrywań i osądów... Inni twierdzili, że to historia odbita w krzywym zwierciadle sal balowych. Jeszcze inni obwołali Mackiewicza „Muiszkówną naszej publicystyki — eksploatującą filozofię maglarek."

Myślę jednak, że te sprzeczne opnie najtrafniej sformułował wówczas Eugeniusz Paukszta: „jest to książka, gdzie raz pragnie się bić brawo, innym zaś razem bić autora..."

Jedno jest pewne — jest to znakomite „czytadło". Przeznaczone wszakże dla inteligentnego czytelnika, który nie da się zwariować — sam swoje wie, a książkę Mackiewicza potraktuje jako urokliwy materiał do refleksji.

J. WIL.

Stanisław Cat-Mackiewicz „Był bal", Wyd. PAX, cena 35 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Albert Camus — „Eseje", PIW, cena 35 zł.

Irena Maciejewska — „Leopold Staff", PIW, cena 50 zł.

Calderon — „Księżniczka na opak wywrócona", Czytelnik, cena 45 zł.

Jan Bleszyński — „Tłumaczenie i jego twórca w polskim prawie autorskim", Wyd. Prawnicze, cena 25 zł.

Jan Kasprowicz — „Pisma zebrane", Wyd. Literackie, cena 90 zł.

Zygmunt Sztaba — „Zwracam panu twarz", MON, cena 14 zł.

Wisława Szymborska — „Wybór wierszy", PIW, cena 15 zł.

Wacław Wójcik — „Zofia Nałkowska", Wiedza Powszechna, cena 35 zł.

FILM

SPRAWA NAGRODY

W program Konfrontacji — 73 włączono wchodzący niedługo do normalnego rozpowszechnienia bułgarski film pt. „SPRAGNIONA MIŁOŚCI" w reżyserii L. Stajkowa, a nagrodzony wcześniej Złotym Medalem na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie. To wysokie wyróżnienie może budzić pewne zdziwienie, jako, że film ten w zasadzie ani nie przekracza progu wysokiej artystyczności, ani nie prezentuje żadnych szczególnych wartości innego rzędu. Jest niewątpliwie filmem sprawnego rzemiosła, swobody filmowego opowiadania oraz ładnego rysunku głównej postaci i jej środowiska, a więc elementów, które kształtując i wypełniając utwór, wcale nie muszą decydować o jego wyjątkowości, która bywa jednym z kryteriów festiwalowych sukcesów.

Obdarowanie w Moskwie nagrodą filmu „Spragniona miłości" (notabene polski tytuł tego filmu zachwytu nie wzbudza) traktować zatem chyba należy jako zwrócenie uwagi jury na potrzebę łączenia ambicji problemowych z prostą umiejętnością „robienia kina". W tym żargonowym nieco określeniu zawiera się tajemnica popularności dziesiątków produktów komercjalnego kina, która przyciąga publiczność do kin. Współczesny widz szuka w kinie sprawnej, nowoczesnej „filmowej roboty". Jej nieudolność odstrasza zaś nawet przy najambitniejszych, często wychowawczo wartościowych propozycjach. Prawdą też jest, że nie tylko polska kinematografia, ale i inne w naszej stronie Europy, szczycąc się filmami Mistrzów czy krótkotrwałymi eksplozjami talentów kolejnych „nowych fal", nie uprawiają dobrego kina klasy B, bez którego nie ma codziennego dnia w żadnej kinematografii.

Przykład „Spragnionej miłości" ma w kontekście tej sprawy swój inny jeszcze walor — reprezentuje kinematografię, która jako jedyna w naszym obozie, w ciągu dwudziestu ostatnich lat nie przeżyła jeszcze swego okresu wzlotu. Kino radzieckie, czeskie, węgierskie, polskie wreszcie miało swe „nowe fale", „szkoły" etc, Bułgarzy milczeli. Ostatnio jednak pojawiają się symptomy nowego i sądzić można, że znakomity „Kozi róg" był jego zapowiedzią. „Spragniona miłości" L. Stajkowa jest zaś wyłącznie wizytówką kina sprawnej realizacji, świadomości nowego warsztatu, potrzebnej każdej kinematografii. Film ten w kinie bułgarskim, również ze względu na swą pewną świeżość, winien zatem mieć swe dobre miejsce. Jurorzy moskiewskiego festiwalu obdarowali jednak ten film, mając chyba na uwadze nie tylko środowiskowe problemy — o powodach hipotetycznie mowa była wyżej. Myśląc o etapie, na którym światowe kino znajduje się, trochę to smutne, ale skoro prawdziwe, przyjmijmy pozytywy „Spragnionej miłości" z całym jej dobrodziejstwem.

Opowieść o młodej, wchodzącej w dorosłe życie dziewczynie, rozpoczyna się w momencie jej psychicznego kryzysu, spowodowanego zarówno typowym dla wieku sprzeciwem wobec stabilizacji i gnuśności świata rodziców, jak i utratą bliskiej sobie osoby — ciotki, która miała swój ogromny wpływ na kształtowanie się osobowości dziewczyny. Postać zmarłej była nosicielem ideałów, wykraczających poza przeciętność spokojnej egzystencji, uświadamiających istnienie świata problemów ogólnoludzkich, nie pozwalających po prostu żyć. Rozterki młodej dziewczyny, dokonywane przez nią konfrontacje obejmują sfery spraw o różnej ciężkości gatunkowej. Od wielkich dylematów światowej polityki i dramatu wojny wietnamskiej po rozczarowania młodzieńczej miłości. Tej skali spraw nie udało się twórcom filmu zrównoważyć, nawet jeśli weźmiemy poprawkę na właśnie młodzieńczy sposób ich odczuwania. A te właśnie problemy zawierały w sobie główne ambicje treściowe i psychologiczne tego filmu. Dlatego też pewnie jest w filmie Stajkowa wiele naprawdę dobrych wątków i epizodów, głównie ze sfery obyczajów, i jednocześnie brak filmowi jednorodności i równowagi spraw małych i wielkich. Przy młodym bohaterze jest to przecież rzecz osiągalna, bo właśnie młodość łączy je w jedność. Były po temu tym bardziej szanse, że skonstruowano postać, której silna osobowość eksponowała bardzo indywidualny stosunek wobec otaczających ją spraw i ludzi.

Ciekawa aktorka V. Donewa jest zresztą filmu tego niezwykle silnym atutem i powyższe zarzuty odnieść należy głównie do spraw scenariuszowego ustawienia całego problemu. Udany portret dziewczyny ujawniający się w serii psychologicznych mikroscen, zręczne konstruowanie poszczególnych, zwłaszcza obyczajowych sytuacji, umiejętne podpatrywanie ludzkich zachowań i zręczność filmowego opowiadania — to te cechy filmu Stajkowa, które sprawiają, że można mówić o utworze udanym i może ważnym w bułgarskiej kinematografii, w której umiejętności tego typu rzadko się ujawniały. Nagrodę zaś na MFF w Moskwie rozumiem nadal wyłącznie jako zachętę do kształcenia filmowego rzemiosła, które służyć winno dużym i małym treściom.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

DTV

Potop informacji, które osaczają nas w każdym momencie życiowym jest jednym z najbardziej charakterystycznych symptomów dzisiejszych czasów. Informacyjne nasycenie wynika nie tylko z postępującej komplikacji rzeczywistości, ale przede wszystkim z emisyjnych możliwości środków masowego przekazu. Szybkość tego przekazu, jego percepcyjna łatwość i wszechobecność powodują zasadniczą przemianę ludzkiego środowiska, które poczyna zmieniać się w szaleńczy wir słów, dźwięków i obrazów. Jednocześnie to stłoczenie informacji wywołuje jej swoistą degradację, poznawcze zubożenie, które bierze się z dwóch zależnych od siebie powodów. Informacyjna masa atakująca z prasy, radia i telewizji musi z powodu czasowej ekonomii operować lakonicznym skrótem i stereotypową zwięzłością — nie pozwala na dyskursywne rozwinięcie wiadomości. Ten typ retoryki kształtuje określone postawy odbiorców, którzy rezygnują z refleksyjnego wydobycia kształtów świata z informacyjnej magmy. Oczywiście istnieją różne poziomy informacji. Tutaj chodzi o tę codzienną, której programową formą jest serwis prasowy, radiowy i telewizyjny dziennik. Informacja rozszerzona i problematyzująca rzeczywistość przebiega w rytmie znacznie wolniejszym: tygodniowym, miesięcznym czy kwartalnym. Ale przecież to czasowe rozrzedzenie nie zmniejsza jej nasilenia. Stąd potrzeba specjalizacji, która z indywidualnej perspektywy rzuca wąski snop światła w tajemniczą rzeczywistość. Jej reszta natomiast pogrąża się w informacyjnym bałaganie codzienności.

Jak w świetle tych oczywistych w końcu spostrzeżeń jawi się rola telewizji, a szczególnie telewizji rodzimej? Otóż bynajmniej nie wyłamuje się ona z organicznych praw rządzących masową informacją. KTT wypowiadając się kiedyś na temat naszej telewizyjnej informacji obnażył zasadę rządzącą zestawom wiadomości, którymi częstuje nas co wieczór dziennik TV. Nie chodzi tu o zakwestionowanie stopnia prawdziwości przekazywanych relacji, lecz o ich porządek, a raczej chaos narracyjny. Hierarchia ważności wydarzeń, która wyznacza tok dziennika stwarza jedynie mechaniczne uporządkowanie. Brak natomiast powiązań wewnętrznych, które szeregują się w świadomości telewidza w ciąg interpretujących i oceniających skojarzeń. Nawet jeżeli pewne informacje zestawione są ze sobą według określonej intencji nadawczej (co się czasem zdarza) nie powodują one pożądanych asocjacji, bowiem odbiorca oglądający dziennik czuje się w pewnym stopniu zwolniony od myślenia, na które nie ma czasu, a nastawiony jedynie na wchłanianie słów i obrazów. Z drugiej strony telewizja walczy o uwagę abonenta bombardowaniem coraz to nowymi „nowościami", pogłębiając tym samym wspomnianą tendencję do skrótowości. Telewizje komercjalne stosują w tym celu chwyty ostatecznie deformujące możliwie pełną zawartość informacji poprzez nasycenie jej elementami sensacji i taniej atrakcyjności.

Kiedy w Czechosłowacji zadano telewidzom ankietowe pytanie „Co byś zrobił, gdybyś dowiedział się nagle w domu, iż wybuchła wojna, a chciałbyś sprawdzić, czy wiadomość jest prawdziwa?" — to rozrzut odpowiedzi był następujący: prawie 55 proc. pytanych odpowiedziało, że włączyliby radio, nieco ponad 15 proc., że włączyliby telewizor, prawie 11 proc., że albo radio albo telewizor, a około 8 proc., że zatelefonowaliby do redakcji swojej gazety. Rezultat tej ankiety w pewnym sensie podważa utarte przekonanie o najwyższym autorytecie informacyjnym TV. Potwierdzają to badania radzieckie, z których wynika, że odbiorcy preferują w zakresie informacji ekonomicznej — gazety, informacji politycznej — radio, w dziedzinie propagowania kultury — telewizję, a w upowszechnianiu osiągnięć naukowych — czasopisma. A zdawało się, że monopol telewizji, która jako jedyny środek przekazu operuje ruchomym obrazem jest niezachwiany i bezkonkurencyjny.

W informacji audiowizualnej warstwą dominującą znaczeniowo jest słowo. Obraz i dźwięk pełnią funkcje ilustracyjne. Jednakże z obserwacji telewizyjnych magazynów informacyjnych wynika, że ta ilustracja jest poznawczo pozorna. Obraz odwraca uwagę od słowa, skupiając ją choćby tylko na powierzchowność samego spikera. Migawki ilustrujące tok wypowiedzi spikera dysponują szczególną uniwersalnością. Dziennikarze z kamerą wypracowali dość ograniczony repertuar wizualnych stereotypów, które obsługują różne rodzaje informacji. Ich podstawowa treść wyrasta ze schematów utrwalonych na gruncie fotografii prasowej, która w telewizji staje się ruchoma. I tak — przykładowo — komunikatowi o wizycie rządowej będą nieodmiennie towarzyszyć migawki z lotniska, z podpisania ważnej umowy zakończonej uściskiem dłoni itp. Inercyjna siła stereotypu jest tak wielka, iż zatraca się w niej wielce istotne przekonanie o dokumentalnym charakterze rzeczywistości „schwytanej na gorąco" i niepowtarzalnej. Odnoszę wrażenie, że pewnym zwyczajowym tematom towarzyszą zawsze te same cytaty filmowe.

Skrajna konwencjonalizacja obrazowej informacji powoduje ulatnianie się poczucia autentyzmu i aktualności. Przeciwnie — to, co autentyczne poczyna nabierać cech fikcji. Brak realizatorskiej inwencji i bodaj odrobiny inteligentnego subiektywizmu w prezentacji prawdziwych wydarzeń wywołuje bierny myślowo, bezosobowy trans odbiorczy, który polega na „obdarzaniu faktów rzeczywistych, (często tragicznych, dramatycznych lub wręcz makabrycznych) ową zobojętniałą uwagą, moralnie zobojętniałą, z jaką ogląda się fakty zmyślone i wyobrażone, których pełno jest w normalnych filmach fabularnych" — jak pisze o tym zjawisku włoski estetyk Gillo Dorfles. Ten typ nastawienia odbiorczego umożliwił makabryczny i cyniczny pomysł duńskiej telewizji, która w charakterze krwawego spektaklu zorganizowała „na żywo" transmitowała niedawne walki z frontu na Bliskim Wschodzie.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

MUZYKA

OD BACHA DO OFFENBACHA

Pomiędzy dwoma kolejnymi występami szefa filharmonicznej orkiestry, Henryka Czyża, nie notowaliśmy imprez muzycznych, którym towarzyszyłby większy rozgłos, nie pojawiła się żadna zagraniczna sława, kontentowaliśmy się siłami krajowymi, z jednym tylko wyjątkiem, a pomimo tego nie brakło wykonań, które mogłyby być ozdobą każdej polskiej filharmonii.

Trzeba też wspomnieć o gościnnych występach Andrzeja Cwojdzińskiego w Lutosławskiego Koncercie na orkiestrę, niezwykle udanym występie muzyków młodszej generacji – dyrygenta Józefa Radwana w Szostakowicza I Symfonii i wiolonczelisty, Stanisława Firleja w Koncercie wiolonczelowym Dworzaka, znajdującego się w czołówce naszych pianistów Jerzego Sulikowskiego w I Koncercie Beethovena i wreszcie o szlachetnym wykonaniu I Koncertu skrzypcowego Mozarta przez bardzo jeszcze młodą, wybitnie utalentowaną Kaję Danczowską.

Trzeba też wspomnieć o wykonaniu V Koncertu fortepianowego Beethovena przez znajdującego się w świetnej formie Zbigniewa Szymonowicza, Zdzisławie Szostaku, który dał ciekawą interpretację „Odwiecznych pieśni" Karłowicza i wreszcie o wspólnym występie skrzypka Zenona Hodora i pianisty Kiejstuta Bacewicza w przepięknym koncercie kameralnym, złożonym z utworów Grażyny Bacewiczówny.

Bodajże najciekawszy w całości koncert symfoniczny owych pięciu tygodni odbył się z udziałem Henryka Czyża i solistki opery warszawskiej, Hanny Lisowskiej. Co prawda sporym zaskoczeniem dla tych, którzy go dawno nie słyszeli, był, powstały przed kilkunastu laty Tren „Ofiarom Hiroszimy" Pendereckiego. Próba czasu — moim zdaniem – okazała się bezlitosna dla utworu tak śmiałego w środkach. Czyżby były one tylko „zewnętrzne", nieumotywowane emocjonalną treścią? Czyżby imitacyjne zabiegi sztuki w stosunku do życia (wszelkie naśladowania syren alarmowych, płaczów czy jęków przez muzykę) – pytam o to zupełnie naiwnie i prostodusznie – obnażały swoją pozaartystyczną naturę i skazywały utwór na zwietrzenie?

W konfrontacji z Trenem zdumiewająco współczesne w ogólnym wyrazie wydawały się Iluminacje Brittena, kompozytora posługującego się niezbyt awangardowymi środkami. To dzieło pełne polotu i inwencji powstało z inspiracji prozy poetyckiej Artura Rimbaud i jest chyba jej godnym odpowiednikiem. Utwór znalazł idealną odtwórczynię w Lisowskiej, której silny i dźwięczny sopran, wyrównany w całej skali głosu szedł w parze z talentem interpretacyjnym.

Kulminację koncertu stanowiło wykonanie przez Henryka Czyża III Symfonii Brahmsa, odbiegającej dość znacznie charakterem od pozostałych jego dzieł symfonicznych.

Obraz życia muzycznego Łodzi byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć tu o urządzanych systematycznie od początku sezonu przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne recitalach organowych, odbywających się w pierwszą środę każdego miesiąca w sali koncertowej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej przy ul. Gdańskiej. Recitale mają już swoją stałą publiczność, coraz liczniejszą, wśród której przeważa młodzież.

Ostatnio w szczególnie miły sposób dał o sobie znać Teatr Muzyczny, który wystawił operetkę Offenbacha „Moulin Rouge".

„Moulin Rouge" wystawiono w ścisłej współpracy z wydziałem wokalno-aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, która dała komplet solistów i reżysera. To pod każdym względem wielce udane przedstawienie stało się niezaprzeczalnym sukcesem młodych adeptów opery i operetki. Właściwie cała dziesiątka muzycznej młodzieży, która zapewniła dwie obsady, wykazała się dużymi umiejętnościami wokalnymi i muzykalnością, mimo iż nieraz dawała o sobie znać trema. Np. w pierwszej obsadzie roli Kivi i w drugiej obsadzie roli Jeana, zwłaszcza chyba w początkowej arii „ze śmiechem". Natomiast dwóch śpiewaków, zresztą doskonałych, u Andrzeja Chmielarza (I obsada w roli Jakuba młynarczyka i u Adama Koziołka (Gilbert de Tyran z II obsady) znać już było obycie ze sceną. W niełatwej partii Anetki wystąpiły z wielkim powodzeniem Teresa Mulawa i Elżbieta Pak-Araszkiewicz (wyróżniłbym zwłaszcza tę drugą w „płaczliwej arii" II aktu). Słowa uznania należą się jednak obu studentkom występującym w roli Kivi – Jadwidze Paduch i Kazimierze Góralczyk. Trochę niewdzięczną i „sztywno" pomyślaną postać Jeana kreowali z powodzeniem Daniel Saulski i Jarosław Stempowski. Jakubem z II obsady był Bogusław Parchimowicz, a ojcem Jeana, Gilbertem z I obsady – Wiesław Łągiewka.

Są to wszystko soliści, którzy wystawiają najpochlebniejsze świadectwo pedagogom z PWSM i stanowią nadzieję teatrów muzycznych. Pochwalić też trzeba doskonałe wykonanie przez obie obsady tercetów w II akcie, mimo iż zdarzały się nierówności rytmiczne.

Utrzymana w dobrym tempie, polegająca na sensownych działaniach scenicznych, a przede wszystkim nie ulegająca tej najbardziej wyświechtanej operetkowej sztampie, bogata w dowcipne i świeże pomysły okazała się reżyseria Antoniego Majaka. Starannie i sprawnie prowadził przedstawienie dyrygent Mieczysław Wojciechowski, oszczędną i funkcjonalną dekorację i efektowne kostiumy dla części baletowej zaprojektowała Barbara Michiewicz-Szrajber.

Chwila uwagi należy się scenom baletowym, dla których znaleziono zgrabny pretekst fabularny i... muzykę z przeróżnych utworów Offenbacha. Na tle scenerii słynnego „Moulin Rouge", do której bardzo pomysłowo nawiązywały rysunki wg Toulouse-Lautreca, choreograf i inscenizator scen baletowych, Bożena Mamontowicz-Łojek skomponowała jakby divertissement, dające całemu niewielkiemu przecież baletowi możność dość wszechstronnego pokazania umiejętności. I co ciekawe, główna idea choreografa, potraktowania owej aluzji do dawnego Moulin Rouge z mieszaniną żartobliwego dystansu i prawdziwego sentymentu została znakomicie podchwycona przez zespół tancerzy.

Myślę, że ten przekrój życia koncertowego ostatnich tygodni daje podstawy do zadowolenia. Oczywiście, wolelibyśmy, aby Łódź muzyczna zwracała na siebie uwagę całego kraju, aby działo się u nas tyle, ile np. ostatnio w Poznaniu.

JERZY KWIECIŃSKI

MAGAZYNEK

PRZYJAŹŃ NA BEZLUDNEJ WYSPIE

Trudno nie zgodzić się z faktem, że życie miewa często ciekawsze pomysły, niż nawet dobrze sytuowany scenarzysta. Otóż proszę sobie wyobrazić, że wskutek czyjegoś niedbalstwa zatonął raz transatlantyk Szwajcarskich L.O. — m/s „Tylżycki Kminkowany" (nazwa w swobodnym tłumaczeniu). Tylko dwie osoby uratowały się: pewien krótkowidz oraz reżyser filmowy (nazwisko nie gra tu większego znaczenia). Ćwierć wieku spędzili razem na bezludnej wyspie, palmy, banany, wygłupiające się nieustannie małpy, dno i cóż za monotonia! Pierwsze pięć lat jakoś zeszło, bo krótkowidz poszukiwał swoich okularów, ale co dalej? I oto ten dzielny człowiek po wyratowaniu stwierdził, że nie żałuje ani jednej chwili spędzonej w towarzystwie reżysera filmowego. Wiele się nauczył, nasłuchał, nadyskutował a nawet w pewnym sensie rozwinął światopoglądowo. Nawiasem wspominając, pod koniec pobytu krótkowidz zjadł reżysera filmowego, ale ten fakt jest bez znaczenia, to są pewne prawa organizmu i od czasu do czasu coś zjeść przecież trzeba. „Naprawdę polubiłem reżyserów filmowych!" — zakończył swoje wspomnienia dzielny i uprzejmy krótkowidz.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina"

K.I.G.

ZE WSPOMNIEŃ NASZEGO SZWAGRA

Wystarczy stworzyć odpowiedni klimat a nasz szwagier wspomina łatwo i chętnie. Ostatnio przy butelce wina „Mistella" przypomniał sobie, jak to przed wojną był raz w kinie. Tytuł filmu wyleciał szwagrowi z głowy, natomiast doskonale pamięta, że tuż przed rozpoczęciem seansu zgaszono światło na sali. Wkrótce też po tym wybuchła II Wojna Światowa.

MYŚL PRZY KUCHENCE GAZOWEJ

Niby to oczywiste ale jakoś tak niewyraźnie uświadomić sobie, że taki mądry człowiek jak Mikołaj Kopernik, nie był ani razu w kinie. Naprawdę nie chodzi tu o wyśmiewanie się z kogoś, tylko o to, że rzeczywiście głupio jakoś.

ZMIANA PÓŁETATU

W miasteczku Jasnośćwielka nad rzeką Ciemną, miejscowy Kierownik Kina zatrudnił na pół etatu staruszka donosiciela, który wskazywał mu, kto szeleści na sali. Mnożyły się jednak reklamacje i odwołania. Po bliższym zbadaniu sprawy okazało się, że donosiciel ten miał krzywy palec wskazujący w związku z czym wskazywał z niedokładnością do kilku widzów. Staruszka przeniesiono natychmiast na inne pół etatu. Określa on obecnie kierunek wiatru przez poślinienie palca, w czym nie przeszkadza drobne przecież kalectwo.

SMUTNE PROGNOZY

Jak wykazały obserwacje na Podhalu, pomimo znacznego ocieplenia nie otworzono ani jednego kina letniego. Miejscowi górale śmiało wnioskują z tego, że nadal jest zima.

ZASŁUŻONA POPULARNOŚĆ

Jak ostatnio wykazały wnikliwe plebiscyty wśród publiczności, prawdziwym ulubieńcem sal kinowych jest Stefan Czołg z zawodu urzędnik rolny, chwilowo nie pracujący. Przyznać wypada, że Czołg rzetelnie zasłużył sobie na taką popularność. Swoim aktywnym uczestnictwem i ciętymi ripostami, potrafi on doprowadzić do łez śmiechu najbardziej drętwą publiczność, nawet na filmach w założeniu ich Twórcy — smutnych. Oto kilka tylko przykładów z przebogatej teki p. Stefcia Czołga. Gdy na ekranie ukazują się kaczuszki (czasem tak się zdarza) p. Stefcio woła: „Taś, taś, taś!" Ale jak woła! To trzeba słyszeć! Gdy ukazują się pasy (zdarza się częściej) Stefcio woła „Kota! Kota!" Ale to jeszcze nic! Raz gdy na ekranie pojawił się aktor Łapicki w roli chirurga Stefunio zawołał: „Pół litra proszę!" — udając, że myli go z kelnerem. Na arcydziele „Chłopi", widząc Borynę nic nie wołał, tylko wydawał taki dźwięk jak konie. Jest rzeczą niesłychanie charakterystyczną, że gdy na ekranie widać koty, to P. Czołg nie woła „Kici, kici", bo lubi te zwierzęta i nie ma zwyczaju z nich żartować. Pan Stefan Czołg najbardziej kocha, gdy na ekranie ukazuje się Hitler (prawdziwy czy przebrany), wtedy żartuje sobie wołając po prostu: „Te, Hitler!". Bezinteresowna działalność p. Stefana Czołga zasługuje na pełne poparcie.

Z wystawy „Venus" — Fot. Walter Streit

HORACY SAFRIN

BAJKI

CUD MNEMOTECHNIKI

Spytał koguta raz ptasi dziennikarz:
„Dlaczego piejąc powieki zamykasz?"
A kogut odparł: „Dalibóg, nie kłamię
Mój repertuar cały znam na pamięć."

KRYTYKA I SAMOKRYTYKA

Krokodyl zajął miejsce w zwierzęcym teatrze
i spostrzegł, jak na scenie stara wydra płacze.
„Baczność! — szepnął sąsiadom. — Powiem tylko tyle:
Nie pozwólcie się nabrać — to łzy krokodyle..."

MÓL W BIBLIOTECE

Mól podeszły wiekiem, w książkach spec nad spece,
złożył raz wizytę wiejskiej bibliotece.
„Nic nowego! — westchnął, jakby od niechcenia. —
Że się też j a d ł o s p i s tu tak rzadko zmienia!"

O KOMUNIKATYWNOŚCI

Wiewióreczka tom wierszy znalazła na skwerze
Przerzuciwszy stron parę zmartwiła się szczerze,
wzniosła oczy ku niebu i rzekła: „Mój Boże!
Nie mogę tego rozgryźć — to za twardy orzech.."

Foto: Archiwum

POWIĘKSZENIA

SZTUKA STOSOWANA

„Od dłuższego już okresu czasu zakład nasz dzierży niechlubne miejsce w branży pod względem wypadkowości przy pracy. Wszelkie środki zaradcze podejmowane przez Kierownictwo Zakładu jak również ofiarnie i prężnie działająca Komórka BHP nie odnoszą pożądanego skutku..." — piszę „Informator" — organ załogi Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 roku. W związku z tym pismo postanowiło przystąpić do walki z **„wypadkowością przy pracy"**. W tym celu opublikowano artykuł Leszka Ciesielskiego, w którym znajdujemy **„sposób bezpiecznego wykonywania powierzonych czynności"**. Jest to sposób rymowany, poezja pracy, czysta sztuka, która zabłądziła do hal fabrycznych.

„Jeśli nie wiesz, jak coś zrobić,
Pytaj się sto razy,
A ominie cię kalectwo
I inne urazy.

Wypleń wreszcie rutyniarstwo,
I wielką brawurę,
A uchronisz własne zdrowie,
I ocalisz skórę.

Start zawsze bywa trudny,
Liczy się w sumie finisz,
Zanim przystąpisz do pracy,
Zastanów się co czynisz.

Jak mówi stare przysłowie,
„Bez pracy nie ma kołaczy",
Przed wykonaniem czynności,
Sprawdź stanowisko pracy".

Przed tak obiecującym autorem jest wiele możliwości: bhp w domu, w drodze do pracy, w drodze z pracy, w przerwie obiadowej, przy postępowaniu powypadkowym w ZUS... Ale póki co autorowi dedykujemy fragment jego własnej twórczości: **„Zanim przystąpisz do pracy, zastanów się co czynisz".**

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

JAN GERHARD

AUTOPAMFLET

Jechaliśmy z Angeliką samochodem wśród gęstych, wyniosłych lasów północy. Zapędziliśmy się tu w naszej podróży. Siedząc przy kierownicy, widziałem jej profil, piersi i odsłonięte kolana.

— Angeliko, czy powiedział ci ktoś kiedykolwiek, że kocha cię za piegi? Nie. A więc ja ci to mówię. Uwielbiam cię za piegi prawie tak samo, jak za całą resztę. Klękam przed twoimi piegami, Angeliko. Całuję je wszędzie tam, gdzie są. Wszystkie razem i z osobna. One mi mówią, że jesteś moja, że byłaś moją przed początkiem, jeszcze zanim przyszłaś na ten świat, po którym pętałem się cierpiąc z powodu swoich piegów. Być może, iż o twoim przyjściu na świat zadecydowano właśnie w tym momencie, w którym patrzyłem na kąpiących się piegowatych żołnierzy bawarskich, ale trzeba było jeszcze dodatkowej ćwierci wieku, abym zdołał spotkać cię na swojej drodze. Dlaczego nie wierzyć, że wszystko to było z góry ukartowane? Jesteś częścią mnie, jak ja jestem częścią ciebie. Piegi są piętnem mówiącym o naszej jedności, o naszym przeznaczeniu, Angeliko, kocham cię za piegi — szeptałem. — Wobec żadnej kobiety nie czułem się tak swobodny, tak absolutnie wolny, tak wyzwolony, jak czuję się wobec ciebie w tych wszystkich pokojach, w których chronimy się gorączkowo, w których chłoniemy godziny, w których ścigamy się ze wskazówkami zegarów, w których błagamy czas, aby jeszcze poczekał, aby nas jeszcze nie rozłączał, w których zapominamy o trzymających nas na uwięzi kotwicach i istniejemy nie istniejąc. Wyzwoliłaś mnie, Angeliko, i nie mogę ciebie porównywać z żadną z kobiet. Żadna bowiem nie miała piegów. Moich piegów. Twoich. Naszych.

Kochaliśmy się w tej chałupce, tak, że jęczała we wszystkich wiązaniach. Trzęsła się do tego stopnia, iż chwilami zdawało się, że zaraz rozwalimy tę ścianę, o którą opiera się łóżko, i razem z belkowaniami, z wapnem oraz ze świętymi obrazami, pochylającymi się nad naszym bezwstydem, wylecimy do warzywnego ogródka pomiędzy gdaczące tam zaniepokojone do żywego kury i kwaczące kaczki. Potoczymy się następnie wśród sypiącego się z betów pierza pod nogi osłupiałych gospodarzy i, gdy przyjdą do siebie, zostaniemy przez nich przepędzeni widłami i cepami z tego raju wśród wydm. Pognają nas nagich, jak Adama i Ewę, zapędzą w pobliskie fale morskie, w których pogrążymy się spleceni uściskiem.

Ściany jednak wytrzymały, więc kochaliśmy się przez dzień, a gdy się skończył, przez noc i jeszcze przez jeden dzień. Tego drugiego dnia o zachodzie słońca wyszliśmy przed chałupkę. Zobaczyliśmy kobiety o złym spojrzeniu i mężczyzn z podkrążonymi oczami. Stali ustawieni przed płotem jak pluton egzekucyjny i rozstrzelali nas wzrokiem. Zabici przez nich wycofaliśmy się znów do naszej izdebki, aby zapaść w siebie i przestać istnieć. Tylko nieistnienie mogliśmy sobie wzajemnie ofiarować. Nie istniejąc bowiem, istnieliśmy w wymiarze, do którego nikt poza nami nie miał dostępu.

Wsłuchany w jej oddech myślałem o tym, że w żadnym miłosnym romansie, jaki kiedykolwiek i gdziekolwiek przedstawiano, nie było dotąd mowy o piegach, które połączyły amantów, o apoteozie piegów, o hymnie do piegów, o ukochaniu piegów. Uświadomiłem sobie również, że Angelika wyzwoliła mnie od ciężaru, który nosiłem całe życie. Od ostatniego ciężaru. Dokonało się więc wszystko. Koło zamykało się dzięki jej istnieniu. Czego jeszcze mogłem chcieć?

— Nazywaj mnie Elektrą — zaproponowała siedząc na parapecie okna.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Tak sobie.

— Dobrze, Elektro — wykrztusiłem i wiedziałem, że jest między nami taka przepaść, której nie przebędę. Otchłań czasu otwierająca się zawsze, gdy nadchodziła godzina odjazdu.

(Fragment)

Jan Gerhard (1921—1971). Znany pisarz współczesny. Walczył w kampanii francuskiej, potem dostał się do niewoli. Po ucieczce uczestniczył w ruchu oporu we Francji. W latach 1941—45 członek Francuskiej Partii Komunistycznej. Po powrocie do Polski walczy w Bieszczadach z bandami UPA. Za książkę „Łuny w Bieszczadach" otrzymuje nagrodę MON i Nagrodę Państwową. Wydał kilkanaście książek, najwybitniejsze to „Niecierpliwość" i wydany pośmiertnie „Autopamflet".

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 472. C-4, Nr indeksu 37006.